

- Raz w roku w Skirolawkach ○ Reforma w punkcie zwrotnym
- Każdy ma rację ○ Progi i bariery albo dezercja krytyków
- „Strach” opowiadanie SF ○ Przed mocnym uderzeniem
- Miłość, namiętność i reszta

W rocznicę powstania listopadowego

Sprawa Polski — sprawą rewolucji

WŁADYSŁAW BORINOWSKI

Powstanie listopadowe jest jednym z etapów naszej walki narodowyzwolenczej. Zostało wywołane przez pokolenie, które już nie pamiętało okresu niepodległości, wychowało się w warunkach trójzaborów, ale od lat dziesiętnych kultywowało marzenie o niepodległej i scalonej państwowo ojczyźnie.

Powstanie w Warszawie wywołało 29 listopada 1830 r. słabe liczebnie spryszczenie, skupiające młodszych oficerów, podchorążych piechoty, grupę dziennikarzy, palestrantów i literatów oraz studentów. Hasło „do broni!” podchwycił lud Starego Miasta, żołnierze i młodzi oficerowie garnizonu. Łamiąc opór starszyny, wojskowej, narzucili hasła wyzwolenie ludziom przeciwnym dążeniom niepodległościowym, ale nie rozporządzającym siłami i środkami, by je zdusić.

Organizatorzy spisku nie zamierzali tylko rozbroić garnizonu rosyjskiego, lecz mieli zamiar zabić wielkiego księcia Konstantego, a tym samym nie dopuścić do nawiązania jakichkolwiek rokowań z carem Mikołajem.

Jednakże nie udało się zabić Konstantego, ani zaskoczyć i rozbroić oddziałów korpusu litewskiego stacjonowanych w Warszawie, Błoniu i Górze Kalwarii. Lecz skoro w międzyczasie pułki prowincjonalne opowiedziały się za powstaniem, znikła dla przeciwników ruchu nadzieja na stłumienie rewolwy siłą, pozostała natomiast złuda rokowań z carem Mikołajem, a wypuszczenie z Królestwa W. Ks. Konstantego i jednostek korpusu litewskiego traktowano jako objaw pokojowych nastrojów „rewolucyjnego rządu”, opanowanego przez zwolenników ugody i zamienionego za ichże staraniami przez dyktaturę popularnego generała Chłopickiego, który nie pozostawał w służbie czynnej i był powszechnie uważany za ofiarę despotyzmu Konstantego.

Nastroje w pierwszych dniach powstania tak charakteryzował Joachim Lelewel, historyk, przyjaciel młodzieży spiskowej, następnie członek ugodowego rządu, a równocześnie prezes radykalnego „Towarzystwa Patriotycznego”.

„Wiadomość o rewolucji w stolicy rozbiegła się po kraju pędem niesłychanym, a gdzie doszła, nie było pułku, nie było powiatu, w którym by się nie odezwał głos narodowy z całym zyciem. W parę dni całe Królestwo było w powstaniu”. (J. Lelewel, Dzieła, t. VIII, Warszawa 1964, s. 94).

Po 10-miesięcznej walce ulegliśmy przewadze wojsk carskich, ale w tymże czasie wykazaliśmy wysokie umiejętności wojskowe w bitwach pod Grochowem, Iganiami, Boremlem oraz walkach o Warszawę. Przeciwnikiem była armia uważana wówczas za najsilniejszą, która pokonała Napoleona i zwyciężyła w 1828/29 r. Turcja zaś w przededniu wybuchu powstania przygotowywała się do interwencyjnej wyprawy by restytuować ponownie prawa Burbonów do tronu francuskiego i zgnieść powstanie niepodległościowe w Belgii.

Rewolucja w Warszawie uratowała zarówno tron króla — ówczesnego króla Filipa, jak i sprawę niepodległości Belgii. Mikołaj musiał zaangażować w Królestwie i na Litwie przeszło 130-tysięczną armię, uzupełnianą dalszymi rezerwami, które napływały w toku walk, by przekreślić akt detronizacji uchwalony przez sejm Królestwa 25 stycznia 1831 r.

Powstanie polskie wywarło wpływ na kształtowanie się nastrojów opozycyjno-rewolucyjnych w Cesarstwie.

W Kursku wykryto kółko rewolucyjne braci Rajewskich. Powstało ono w związku z wiadomościami o rewolucji we Francji, później Belgii, wreszcie — Warszawie.

Sztabskapitan Sitnikow próbował utworzyć kółko rewolucyjne w Kazaniu. Podobno miał kilkunastu zwolenników, Zandarmeria przechwytywała coraz częściej listy, w których anonimowi autorzy domagali się swobód dla Rosji i nadania konstytucji.

Prowadzono w 1831 r. śledztwo przeciwko kilku dziełcom z guberni woroneskiej oraz grupie oficerów garnizonu w Woroneżu z powodu „zuchwałych rozmów” i „krytyki władz”. Śledztwo objęło kilkanaście osób, a u niektórych spośród nich znaleziono antyrządowe pisma i frywolne wiersze ośmieszające urzędników gubernijnych.

Z danych znajdujących się w III Oddziale Kancelarii Cesarzowskiej wynika, że silne wzburzenie objawiało się wśród studentów Uniwersytetu w Moskwie, a nawet wykryto tam dwa kółka rewolucyjne. Zresztą jedno z nich utworzone przez Sungurowa miało charakter prowokacji policyjnej.

Podobnych przykładów można przytoczyć znacznie więcej. Opozycyjne grupy powstawały pod wpływem wiadomości z Królestwa, a przedłużanie się powstania stanowiło zachętę do słabych wprawdzie, ale tym niemniej „buntowniczych” przejawów wobec monarchy i władz lokalnych.

Wpływ rewolucji lipcowej i belgijskiej oraz „buntu” w Królestwie na „stan umysłów” w Rosji widział wyraźnie szef zandarmerii Aleksander Benckendorff pisząc w raporcie do cara, że „duch buntowniczy wywarł wpływ na stan umysłów wewnątrz państwa. Szkodliwe rozmowy ludzi o liberalnych poglądach, a zwłaszcza młodzieży, wielokrotnie zwracały na siebie uwagę organów wyższego nadzoru...”

... Nie ma wątpliwości, że przy dalszych niepowodzeniach w uśmierzeniu buntu w Królestwie Polskim samowola i wolnomyślicielstwo zapuściłyby korzenie w naszej ojczyźnie.”



Rewolucje, które wybuchły w Europie w 1830 r. pokazują jak wiele materiału palnego nagromadziło się w wyniku rządów reakcji. Liberalne mieszczaństwo francuskie w lipcu 1830 ponownie obaliło Burbonów, proklamując króla — obywatela Ludwika Filipa. Dążenia niepodległościowe Belgów zachęceniych udaną rewolucją w Paryżu, wyraziły się w demonstracjach, które przetrwały w sierpniu w powstanie zbrojne.

Wiadomości o ucieczce Karola X i proklamowaniu liberalnej monarchii w Paryżu witały w Warszawie oznakami nietajonej radości — wszak została obalona zasada legitymizmu, a oprócz cara ani Prusy, ani Austria nie miały zamiaru interweniować zbrojnie.

Powstanie w Belgii stało się zaczynem fermentu. Mówiono głośno, że i nam czas zaczynać walkę. Pospolstwo wszczynano zwady z policją, wybijano szyby w mieszkaniach urzędników podatkowych, w miesiące ukazywały się „kartelusze” nawołujące do walki, zawiadamiające, że pułk balwaderski od nowego roku będzie do wynajęcia. Krążyły plotki o silnym spisku, na czele którego miał stać gen. Józef Chłopicki.

W. Ks. Konstanty miał liczne informacje o rosnących nastrojach rewolucyjnych wśród pospółstwa i studentów. Lecz równocześnie ludzie poważni i szanowani zapewniali, że nie dopuszczą do rozruchów, zaś generacja rezygnowała z lojalności wojska.

Słabe liczebnie spryszczenie zagrożone dekonspiracją (aresztowano kilku studentów oraz dwu podchorążych), zdopingowane przez fakt postawienia na stopie wojennej korpusów zachodnich Cesarstwa — z związku z przewidywaną interwencją przeciwko Francji i Belgii z udziałem wojska polskiego (doniosły o tym gazety warszawskie) podjęło po naradzie z Lelewelom decyzję powstania.

Lódź tygodnik społeczno-kulturalny

Odgłosy

NUMER 49 (1340) ROK XXVI

3 GRUDNIA 1983 ROKU

CENA 15 ZŁ

Andrzej A. Suprynowicz

czytaj strona 7

Rejs w cieniu śmierci

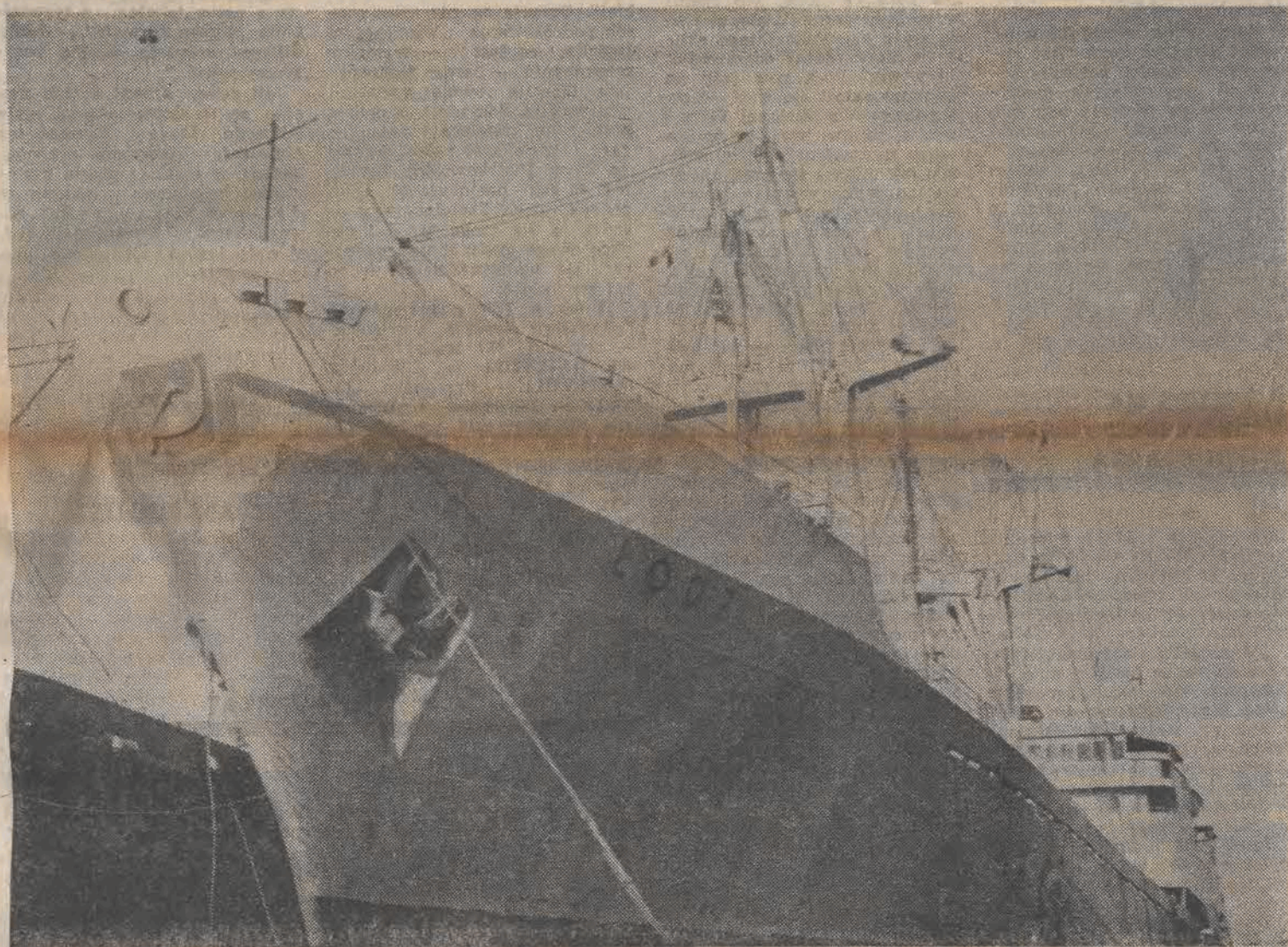


Foto: CAF — Archiwum

OD REDAKCJI:

Reportaż o ostatnim rejsie m/s „Lódź” pod polską banderą i o niezbyt chlubnych dziejach tego statku w służbie naszej marynarki handlowej drukujemy dzięki uprzejmości kolegów z redakcji szczecińskiego tygodnika „Mo. ze i Ziemia”, który opublikował ten tekst 24 listopada br. Z treści reportażu wynika, że armator

„Lódź” sprzedał ten statek pod inną banderą. Może zatem byłoby warto — niezależnie od fatalnej, podobno opinii, jaką miłośnicy z naszym miastem cieszyli się w portach Europy i Afryki — podjąć starania o nadanie imienia „Lódź” któremuś z nowych statków PLO lub innego armatora. Może będzie bardziej szczęśliwy? Polecamy to uwadze władz i mieszkańców Łodzi.

W Polsce towarów nie brakuje, trzeba tylko umieć szukać

Rozmowa z dyrektorem Spółdzielczego Domu Handlowego „Central”, LECHEM SOSNOWSKIM.

— Co wam, handlowcom, dała już reforma?

— Usankcjonowała to, co do tej pory robiliśmy „na dziko”: zależność płacy od pracy. Po szczególne stóska w „Centralu” otrzymują fundusz płac. I teraz mogą same decydować, czy na przykład do sprawnego funkcjonowania tego sbska potrzeba im 20 ludzi, czy wystarczy 15. Jeśli pracować będzie 15 osób, to dzielą się

funduszem przeznaczonym dla 20. Ludzie pracują lepiej i wydajniej, a jednocześnie rosną im zarobki. Teraz ciągle otrzymujemy sygnały, że w tym czy innym dziale są ludzie mało wydajni i równie dobrze można pracować bez nich. Tak więc ten system już działa i przynosi dobre rezultaty. — A inne korzyści? — Dziś mogę się targować z tymi producentami, którzy dla

nas pracują. I mogę uzyskać niższe ceny od tych, które proponują nam na początku rozmowy.

— Mówimy o cenach umownych?

— Tak. Producenci bowiem często tak kalkulują, żeby w cenie zmieścić wszystko, co tylko możliwe.

— Czy wobec tego można wyciągnąć wnioski, że za zbyt wysokie ceny umowne, jakie

sie często spotyka, winę ponosi handel, bo nie walczy o ich obniżenie, bo się nie targuje?

— W poważnym stopniu tak.

— Czy reforma dała panu szersze możliwości poszukiwania towarów? „Central” jest przecież uważany za dobrze zaopatrzonej dom handlowy.

— Niezupełnie. Jeśli mam w pełni odpowiadać za zaopatrzenie domu towarowego, to — spodziewałem się — że nie będzie aż tylu towarów sterowanych centralnie i dzielonych. Tymczasem liczba ich wzrosła do 101 pozycji. Są wśród nich m. in. towary importowane, i tu sprawa jest jasna, ale są też takie których akurat na rynku nie brakuje. Jak np. mydło do prania. Nie wiem w tej chwili, co z tym mydłem robić. Może ktoś potrzebuje, to prześlemy mu bez żadnego rozdzielnika.

— Co jest jeszcze centralnie dzielone?

— Między innymi. Oczywiście, bo przecież listy 101 grup

6

4

Przegląd prasy

nu zespołu „Odgłosy” — był wdzięczny red. Danielowi Passentowi z „Polityki” za to, że zachciał szerzej spopularyzować „Odgłosy” wśród Czytelników swego pisma.

Dlaczego więc jest mi żal Daniela Passenta?

Postaram się wyliczyć to w kilku punktach.

Po pierwsze — że biedak musi czytać anonimów. Niektóre redakcje wręcz anonują swoim Czytelnikom, iż anonimów wyrzucają do kosza. Ale to sprawa Daniela Passenta. „Anonimowy czytelnik przysłał mi pierwsze trzy odcinki powieści Zbigniewa Nienackiego „Raz w roku w Skiroławkach” — pisze wyraźnie i chwali się dalej, że wiele zawdzięcza czytelnikom — co jest chwalebne — czasami nawet anonimowym” — co już jest tylko jego sprawą. Mnie w każdym razie bardzo go żal z tego powodu.

Po drugie — dlatego, że nie poczekał ani na całość fragmentów powieści Zbigniewa Nienackiego, a tylko wydał o niej sąd na podstawie, jak przynajmniej to sam, trzech pierwszych odcinków. Powieść Zbigniewa Nienackiego w całości ma się ukazać niebawem, ale Daniel Passent nie jest krytykiem literackim, więc go ten fakt nie musi interesować, jak i to, że „Odgłosy” wydrukowały więcej niż trzy odcinki tej powieści.

Po trzecie — dlatego, że Daniel Passent dał się po prostu „wypuścić”. Po Łodzi chodzi już kilka osób, które chwalią się, że to one wysłały te trzy odcinki i napuściły Passenta na „Odgłosy”. Można się domyślać, że w tych przechwałkach zawarta jest pewna groźba. Niech im ktoś podkroczy, albo zrobi coś nie po ich myśli, to zaraz wyślą anonim do Daniela Passenta z dopiskiem: „Passent bierz go!!!” i Passent weźmie. Osobiście w to wątpię, czy tak będzie, ale to jest tylko mój pogląd.

Po czwarte — dlatego, że nie pomyślał nim napisał o Zbigniewie Nienackim jako pisarzu dla młodzieży i dla dorosłych. „Raz w roku w Skiroławkach” nie jest pierwszą powieścią Zbigniewa Nienackiego dla dorosłych. Trzeba jednak było kogoś zapytać, jak również i o to, czy inni pisarze dla dzieci i młodzieży nie popielili czegoś podobnego. A popielili. I nawet ci najbardziej nobliwi świntuszyli aż strach. W szkole czasem o tym uczą.

I to by było na tyle. Przy okazji chciałbym donieść Czytelnikom, że powieść Zbigniewa Nienackiego „Raz w roku w Skiroławkach”, drukowana we fragmentach w „Odgłosach”, wywołała bardzo różne reakcje. Parę osób gratulowało redakcji odwagi, a pewien starszy pan, były działacz kulturalny i oświatowy złożył oficjalny protest przeciw „Odgłosom” w Komisji Oświaty Rady Narodowej Miasta Łodzi.

Sądę, że nie jest to ani sprawa odwagi, ani czego innego. Po prostu od dawna redakcja poszukiwała dobrej powieści współczesnej i wrzeszczała się nam trafla. Zbigniew Nienacki zrobił dobry początek i oto mamy już dalsze oferty, z których być może skorzystamy. A że czas nam współczes-

ny nie należy do najspokojniejszych i ugiadanych, to i powieści muszą być „niekonwencjonalne”. Tu nie mogę zgodzić się z innym felietonistą — Edmundem Tulko z „DZIENNIKA ŁÓDZKIEGO”, który w „Zapiskach współczesnych” („DE” z 19—20 listopada 1983 r.) posądza Z. Nienackiego, że „nie zna realiów życia”. Sądząc po publiczności i powieściach Zbigniewa Nienackiego zna on je dobrze.

EDMUND TULKO DORADZA

nam, abyśmy zainteresowali się „niejakim Pitigrillim”, który lepszy jest w „tych sprawach” od Nienackiego.

„Powieć szczerze — pisze stary prześmiewca Edmund Tulko — od czasu jak czytałem jedną opowieść niejakiego Pitigrilla, resztę literatury erotycznej uważam za bajeczki dla małych dzieci. Bo proszę sobie wyobrazić, czy może być coś bardziej emocjonującego od kopulacji na szynach kolejowych, i to w dodatku przed zbliżającym się „Orient-Expressem”? A wspomniany Pitigrill taki moment wymyślił!”

Owszem, wymyślił on niejedno. Swego czasu — o czym Edmund Tulko, jako młody jeszcze człowiek wiedzieć nie może — mówił się nawet na „te sprawy” — „pitigrill”. Ale nie wiem, czy Edmund Tulko wie, że był taki Aleksander Kuprin, który napisał powieść „Jama”. Jama była to dzielnica w Kijowie, dzielnica rozkoszy, i akcja tej powieści dzieje się właśnie w tej dzielnicy. Nie wiem, czy Aleksander Kuprin wszystko, co tam opisał, wymyślił, choć wątpię. On znał życie. Otóż życie bywa zawsze bardziej bogate od najśmielszych pomysłów. Ale ja przeciw tego nie muszę tłumaczyć Edmundowi Tulko, bo on też zna życie.

A teraz, niestety, muszę przejść do sprawy poważniejszej. Można się sobie pospieszyć o posiłki pani Aldony i zażońność życia, o „Głęboką jamę” Daniela Passenta, ale życie ma swoje poważne strony i trzeba tym się też zajmować. Muszę więc ponownie zająć się sprawą, o której pisałem, a jest to

KONKURS NA STANOWISKO DZIENNIKARZA

jaki ogłosiła redakcja tygodnika „NAD WARTĄ” (nr 46 i 47 z 17 i 24 listopada 1983 r.). W tej sprawie redaktor naczelny otrzymał list następującej treści:

„W związku z zamieszczonym ogłoszeniem w nr 46 z dnia 17 listopada 1983 r. w tygodniku „Nad Wartą” dotyczącym konkursu na stanowisko dziennikarza, uprzejmie informuję, że inserat ten został wydrukowany bez konsultacji i wiedzy Kierownictwa Łódzkiego Wydawnictwa Prasowego.

Inicjatywa umieszczenia tego ogłoszenia wypłynęła od redakcji tygodnika „Nad Wartą”.

Wobec tego materiałami we wspomnianego konkursu nie mogą służyć Obywatelowi Redaktorowi, a to ze względów, które wyliczyłem powyżej.

Reasumując, w sprawie tej proszę zwrócić się do redakcji tygodnika „Nad Wartą”, zaś swoją uwagę na temat kształtowania dziennikarstwa przez Uniwersytet Warszawski skierować do Rektora tej Uczelni.

List jest wprawdzie adresowany do redaktora naczelnego, ale dotyczy mnie. Cięższe jest, że za sprawy tej wyłączone jest Łódzkie Wydawnictwo Prasowe, że „nie patronuje i nie firmuje konkursu” — jak poprzednio pisałem. Odwołuję nawet to, że nie będę mógł się zapoznać z materiałami i wynikami konkursu. Sądziłem bowiem, że jest to bardziej sonda na temat popularności zawodu dziennikarskiego niż propozycja poszukiwania tą drogą dziennikarzy. Czuję się więc w obowiązku przeprosić Piotra Sagana za kłopot, jaki mu mimo woli wyrządziłem. Swoją drogą dobrze się jednak stało, że sprawa ta wypłynęła, bowiem inaczej opinia publiczna nie dowiedziałaby się, że jest to tylko inicjatywa tygodnika „Nad Wartą”. Nie zmienia to jednak mego stanowiska w samej sprawie.

Nadal mam bowiem wątpliwości, czy redakcja tygodnika „Nad Wartą” wybrała właściwą drogę poszukiwania dziennikarzy. Założony, że wygra konkurs ktoś, kto spełni wszystkie warunki, ale w czasie stażu dziennikarskiego okaże się nieprzydatny do zawodu? Co wtedy? Poza tym, jeśli na konkurs zgłosił się ktoś — powiedzmy — z Zielonej Góry i wygra, to kto mu da w Sieradzu mieszkanie? Nie wiem też, jak mierzy się dyspozycje do wykonywania zawodu dziennikarskiego, a wiem natomiast, że wielu absolwentów studiów dziennikarskich nie pracuje w wyznaczonym zawodzie, w redakcjach natomiast pracują ludzie, którzy takich studiów nie kończyli.

Powtarzam, mam szereg wątpliwości. Sądę, że mi wolno, a mój zawód upoważnia mnie również do zgłoszenia ich publicznie. Nie wiem, czy redakcja przed ogłoszeniem tego konkursu zasięgnęła porady prawnej, gdyż przy tego rodzaju eksperymencie jest to — w moim przekonaniu — niezbędne. Ale redakcja „Nad Wartą” wzięła całą odpowiedzialność na siebie. Życzę powodzenia!

Historia jest też sprawą poważną. Przy okazji przeglądu prasy pisałem o historii dość często, gdyż uważam, że znajomość przeszłości decyduje o stanie i poziomie świadomości narodowej, a także o tożsamości narodowej. Ludzie interesują się różnymi okresami naszej przeszłości i to jest piękne. Największe zainteresowanie budzi na ogół czas nam najbliższy, a więc dzieje drugiej wojny światowej, dzieje II Rzeczypospolitej, nasze mijające 40-lecie. Ale — jak pisałem

— są i amatorzy dziejów dawniejszych, tym bardziej, że w każdym okresie minionym dzieło się coś interesującego i zachowały się jakieś legendy i anegdota. A to interesowało i interesuje ludzi.

KAZIMIERZ WILIŃSKI W „TYGODNIKU PIOTRKOWSKIM”

zajął się Władysławem Jagiełłą, który — jak pisze w nr 47 z 23 listopada 1983 r. — zajmuje szczególną pozycję w zachowanych legendach, przekazach ludowych, czy w fradycji lokalnych wydarzeń. Władysław Jagiełło jest w ogóle interesującym królem i historycy mogliby wiele na ten temat ciekawego opowiedzieć. Rzecz w tym tylko, że mamy ludzi w przeszłości o bezmyślnych, którzy całą sobie wielce wzajemnie do siebie pisanie. Pisują oni bardzo uczone rozprawy, które nie trafiają na ogół do miłośnika historii. Są bowiem dla niego zbyt fachowe.

Nie przeczę. Jest to potrzebne. Ale obok tego musi istnieć literatura popularnonaukowa, a tej nam na ogół nie dostaje. Nie mamy popularyzatorów. Dlatego każdy, kto sięga po pióro, aby w pismach popularyzować historię powinien być wielce ceniony. Ale też trzeba szczerze i otwarcie dyskutować o sposobach tej popularyzacji.

Niech przykładem będzie teści Kazimierza Wilińskiego pt. „Król Jagiełło na Ziemi Piotrkowskiej”. Opisuje on nie tylko sposób podróżowania Władysława Jagiełły, co jest — w moim przekonaniu — bardzo interesujące. Opisuje również, a właściwie wylicza dokładnie, z podaniem roku, miesiąca i dnia, ile razy i gdzie król polski był na Ziemi Piotrkowskiej. Czy to jest aż tak pasjonujące? Oto próbka, niech Czytelnik sam osądzi, ja się mogę mylić i nie chcę swego gustu innym narzucać, ale wątpliwościami wolno mi się dzielić:

„I tak w 1430 r. przemierzał (Władysław Jagiełło) oczywiście — przyp. L. B.) trasę Łeczewca (28.VII—5.VIII) — Wólboź (9—10.VIII) — Przedbórz (15.VIII) — Jędrzejów i Wiślica (po 15.VIII), zaś w 1432 r. dwukrotnie zatrzymał się na dłuższy pobyt w Wólbożu (Pabianice 17.VII — Wólboź 19.VII — Onoczo 26.VII; Nowy Korczyn 14—24.VIII — Wólboź 6.IX. — Sandomierz 8.IX). O-

statni raz przemierzył omawiane tereny w 1433 r. kiedy wraz z dworem jechał na trasie Sieradz (22.VIII—15.IX) — Wólboź (26.IX) — Sulejów (29.IX) — Przedbórz (po 29.IX) — Radostyce (przełom września i października)”.

Uff! I to wcale nie jest wybrany jeden tylko fragment. Tak jest przez trzy cawarte artykuły. Mój stary gimnazjalny profesor historii zwykły był mawiać, że zna historię, to nie tylko znał i umieć wymienić fakty i daty, ale przede wszystkim rozumieć sens dokonującego się procesu historycznego. I ja o tym do dziś pamiętam!

Na zakończenie jeszcze jedna polemika. Tym razem z „Wiadomościami” telewizyjnymi. Zostałem jej na koniec, bo sprawa nietypowa. Otóż

ALEKSANDER NIEŚMIAŁEK ZARZUCHI

w piątkowym „Przeglądzie prasy” (audycja z 18 listopada 1983 roku, godzina 18,10), że Edward Bryl oskarżył dziennikarza łódzkiej prasy o obronę lekarza z Leśmierza. A tymczasem rzecz cała ma się zupełnie inaczej. Oto dokłowny cytát z artykułu Edwarda Bryla „Skandal w ośrodku zdrowia” („Odgłosy” z 19 listopada 1983 r., nr 47):

„...nawet jeśli coś przeciwnie niemu się ukáže, kontrakt jest przygotowany! Łódzki Wydział Zdrowia ma dobre układy z prasą lokalną, a tygodnikiem „Słuzba Zdrowia” — dziennikarce przysłał, zrobił pozytywny tekst...”

Jak zatem z tego cytatu wynika, są to słowa lekarza, a nie Edwarda Bryla. Dlatego też Aleksander Nieśmiałek nie mógł znaleźć w łódzkiej prasie materiałów broniących lekarza z Leśmierza. One — według tezozy lekarza — dopiero mają być. Ale to jest tylko takie jego mniemanie.

LUCJAN BOGUSZ

KOMUNIKAT

Od 26 listopada w związku z włączeniem nowych urządzeń Łódzkiego Węzła Telekomunikacyjnego zmienia uległa większość numerów telefonów w naszym mieście. Informujemy Czytelników o aktualnych numerach telefonów naszej redakcji: redaktor naczelny — 36-52-44, z-ca redaktora naczelnego i sekretarz redakcji — 36-80-99, publicyści — 36-77-70, redaktor techniczny i korekta — 78-34-41 i 78-35-01.

Po sympozjum na temat kultury robotników

Rozpoznanie terenu

W publikacji zamieszczonej na naszych łamach przed tygodniem, wyprzedzającej Ogólnopolskie Seminarium pt. „Kultura klasy robotniczej w Polsce”, sformułowaliśmy szereg pytań i wątpliwości odnoszących się głównie do samego pojęcia kultury robotniczej. Nie były to pytania tak całkiem lojalne, organizatorzy bowiem zobowiązali się tylko do samego opisu sytuacji (jaka mianowicie ta kultura u nas jest), nie zaś do jakichś ustaleń normatywnych (np. co należy uznać za kulturę właściwą klasie robotniczej). Słowem, zapowiedziana tematyka obiecywała omówienie stanu kultury pol-

skich robotników, nie zaś charakterystykę kultury robotniczej, jako pojęcia uwarunkowanego klasowo.

Dwudniowe seminarium, urządzone w Łodzi wspólnym staraniem Komitetu Łódzkiego PZPR i Komitetu Wojewódzkiego w Katowicach (pierwszego dnia w Muzeum Historii Miasta Łodzi, a drugiego w ZTK „Teofilów”) spotkało się z dużym zainteresowaniem i aktywnym uczestnictwem animatorów kultury nieprofesjonalnej ale także licznych „zawodowców”, przyniosło pokaźny plon, na który składa się zarówno zawartość treściowa wygłoszonych referatów jak i wnioski i propozycje zgłoszone przez pięć zespołów problemowych. Jak wrzeszcze opinie wyrażane w dyskusji plenarnej. O rozmiarach uczestnictwa świadczy udział blisko stu dyskutantów. Nie sposób na „oraczo (czyli — w praktyce tygodnika — z numeru na numer) odnieść się do większości poruszanych na sympozjum spraw, trudno zdobyć się choćby na usystematyzowaną relację, potrzeba na to nieco więcej czasu, pozwolić więc sobie na garść nie uporządkowanych refleksji.

Dobrym wprowadzeniem do obrad były oba referaty, mimo iż pierwszy z nich, wygłoszony przez kierownika Wydziału Kultury KC PZPR Witolda Nawrockiego, pt. „Polityka kulturalna partii w dziedzinie rozwoju kultury w środowisku robotniczym” mógł być przez część stuchaczy, nie obeznaną z terminologią naukową, odebrany jako zbyt hermetyczny, zwłaszcza jego pierwsza część. Podkreślono w nim m.in. ważną rolę polityki kulturalnej jako istotnej części polityki społecznej, wypowiedziano się krytycznie o paternalistycznym stosunku części

inteligencji do klasy robotniczej, zwłaszcza w dziedzinie kultury, w powyższym kontekście przypomniano też, iż w państwie socjalistycznym z wszystkich dawnych funkcji inteligencji uwarunkowanych nieraz specyficznymi okolicznościami historycznymi (jak np. zabory) pozostaje jej tylko funkcja zawodowa; scharakteryzowano też próby obcych ideologicznie penetracji, mających na celu wyeliminowanie koncepcji walki klasowej.

W referacie doc. dra Bronisława Gołębiewskiego pt. „Kultura robotnicza w Polsce Ludowej. Zarz teoretyczno-empiryczny” przypomniano o dawności sporów na temat kultury robotniczej, poczynając od Stanisława Brzozowskiego, zwrócono uwagę na współczesne wyróżniki kultury robotniczej, jak etos pracy oraz styl i sposób życia, podkreślono też, że świadoma siebie klasa robotnicza nie wznosi wokół siebie sztucznych barier, nie chce się wyróżniać przez imność lub obcość, lecz poczuwa się do odpowiedzialności za los narodu i kultury narodowej.

Z lakonicznych i nieraz hasłowych relacji z prac poszczególnych zespołów tematycznych można był, jednak wywnioskować, że dokonały one wielkiej pracy intelektualnej, precyzując szereg pojęć i rozpatrując sprawy kultury robotniczej na najszerszym tle warunków społecznych.

Stwierdzono m.in., że: polityka kulturalna u nas nie korzysta w swoich badaniach z najnowszych metod, instrumentów poznawczych; należy czym prędzej znieść sztuczne bariery pomiędzy sztuką profesjonalną a działalnością twórczą amatorów;

ważne dla zagadnienia kultury są zawsze stosunki pracy;

socialistyczny zakład pracy powinien spełniać funkcje wzorotwórcze dla kultury najszerzej pojętej;

niezbędne jest sprzężenie placówek kultury z całością życia załogi;

należy zająć się nie rozpoznanym dotychczas tematem recepcji artystycznej w środowisku robotniczym;

istotne jest nie tyle polepszenie ofert kulturalnych wobec środowiska robotniczego, ile udoskonalenie organizacji życia społecznego;

nie wolno myśleć o odrębnej kulturze dla robotników, lecz należy dbać o rozwój kultury masowej, racjonalnie wartościującej świat;

pożądana jest, aby klasa robotnicza dopracowała się wrzeszcze programu swojej edukacji kulturalnej;

pozostawia jeszcze sporo do życzenia sposób sprawowania kierownictwa partyjnego w kulturze.

Myślę, że te głosy i opinie uczestników sympozjum, tak pobieżnie tu zrelacjonowane, rają jednak czytelnikowi wyobrażenie o bogactwie i złożoności problematyki kulturalnej, a kultury robotniczej w szczególności, dają też zarazem świadectwo zwiększającemu się ostatnio rozpoznanianiu tak ważnego obszaru świadomości ludzkiej.

JERZY KWIECIŃSKI

Trudno oprzeć się wrażeniu, iż w wielu kręgach naszego społeczeństwa, jak również w mass mediach wyczuwa się lekkie znużenie tematem reformy gospodarczej. Jest to zjawisko poniekąd zrozumiałe, gdyż w ubiegłym roku społeczeństwo bombardowane było informacjami o reformie upowszechnianymi w różnych formach i z różnym skutkiem przez radio, prasę, telewizję i wędrownych kaznodziejów-prelegentów. Jak to u nas zwykle bywa po przeprowadzeniu zmasowanej akcji następuje okres ciszy, samozadolenia i odpoczynku po spełnieniu misji.

Istotny wpływ na osłabienie społecznego zainteresowania losem reformy wywiera także brak szybkich efektów funkcjonowania nowego mechanizmu przejawiających się w odczuwalnej przez konsumentów poprawie zaopatrzenia rynkowego. Ogół społeczeństwa ocenia skuteczność reformy poprzez pryzmat półek sklepowych. A tymczasem reforma nie eliminuje bra-

mi reformy i wzmacnia powstałe już przychówki reformy.

Bez cienia przesady można stwierdzić, że proces wprowadzania reformy wkracza obecnie w decydującą fazę. Rok 1982 był okresem startu reformy, który przebiegał w krańcowo niesprzyjających warunkach gospodarczych i społecznych. Był to okres kształtowania przedpola reformy, tworzenia przychówek nowego mechanizmu, a także, co jest zrozumiałe przy takiej operacji, panowania zamętu i pewnej dezorientacji na wszystkich szczeblach drabiny organizacyjnej gospodarki narodowej. Począwszy od połowy 1982 r. zaznaczył się powolny wzrost produkcji przemysłowej i wydajności pracy. Rok 1983 jest dla reformy okresem dostrajania się przedsiębiorstw do nowych reguł ekonomicznych. W procesie tym przedsiębiorstwa wykorzystują doświadczenia nabyte w poprzednim roku, który był dla nich pierwszą przymiarką do zasad reformy. Analiza działalności przedsiębiorstw w 1983 r. wskazuje, że potrafią one znakomicie posługiwać się mechanizmami

towarowego sprawującymi funkcje obowiązkowych pośredników w obrocie materiałami. Oóż, w analizowanym dokumencie stwierdza się, że tylko niektóre przedsiębiorstwa obrotu będą podporządkowane ministrowi gospodarki materiałowej, a decyzje w tej kwestii zostaną podjęte przez Prezydium Rządu. Można domniemywać, że ministerstwa gależowe będą twarde bronić dotychczasowych rozwiązań, które przyznają im nadzór nad centralami handlowymi pośredniczącymi w obrocie. Jest to oczywiście rozwiązanie sprzeczne z logiką reformy, gdyż utrzymuje w pewnym zakresie władzę kompetencje ministerstw gależowych wobec przedsiębiorstw. Ten kto bowiem dysponuje rzadkim czynnikiem produkcji może łatwo wymuszać określoną jej wielkość i strukturę.

W kwestii uregulowania zadłużenia przedsiębiorstw z tytułu dawnych kredytów zaciągniętych na sfinansowanie inwestycji obecnie niezamierzonych przyjęto rozwiązanie polegające na umorzeniu owego zadłużenia. Jednakże warunkiem umorzenia kredytu musi być przeprowa-

czasem, jak wykazują badania empiryczne, oskarżenia pod adresem cen umownych są w zasadzie bezpodstawne, wręcz demagogiczne. Prof. Czesław Bobrowski powołując się na obliczenia twierdzi, że rentowność przedsiębiorstw osiągnięta na cenach umownych była w 1982 r. niewiele tylko wyższa od rentowności osiągniętej na cenach urzędowych. Ceny umowne są po prostu jedną z składników ogólnego ruchu cen, wynikającego z konieczności porządkowania ich struktury, dążenia do zmniejszenia dopłat z budżetu do cen określonych artykułów itp.

Kolejna modyfikacja w systemie ekonomicznym dotyczy

FORMUŁY PODATKU DOCHODOWEGO

Dotychczasowa ostro krytykowana przez przedsiębiorstwa formuła progresywnego podatku dochodowego związana z poziomem rentowności opartej na kosztach przerobu zasławną będzie przez formułę kwotowo-liniową, uwzględniającą stopień wykorzystania majątku produkcyjnego. Należy spodziewać się, iż nowe zasady opodatkowania zysku przedsiębiorstwa przyczynią się do lepszego wykorzystania majątku i wzrostu produkcji przedsiębiorstw. Negatywnym aspektem tych propozycji jest fakt, że w „Kierunkach...” nie określono kryteriów i zasad ustalania wymiaru podatku kwotowego. Analizy symulacyjne nie zostały jeszcze zakończone, co jest powodem słusznego niezadowolenia w przedsiębiorstwach przygotowujących się do budowy planów na 1984 r.

Duży ciężar gatunkowy mają

ZMIANY W ZASADACH KSZTAŁTOWANIA WYNAGRODZEŃ

Przyjęto zasadę, że za podstawę (bazę) do naliczeń w danym roku wielkości wynagrodzeń wolnej od obciążeń na PFAZ uznaje się poziom wynagrodzeń, jaki został osiągnięty w roku poprzednim, ale bez obciążeń na rzecz PFAZ. Intencją tej zmiany jest silniejsza niż dotychczas powiązanie wypłat z produkcją sprzyjającą dynamizacji jej wzrostu. Przedsiębiorstwom przewidziano prawo do tworzenia rezerwy wynagrodzeń w przypadkach, w których wypłacono w danym roku kwota wynagrodzeń zaliczonych w ciężar kosztów ukształtowała się poniżej progu wolnego od obciążeń na PFAZ. Ważnym novum w zasadach kształtowania wynagrodzeń jest także upoważnienie przedsiębiorstw do stosowania eksperymentalnych zakładawych regulaminów płac, nawet jeśli wykraczać one będą poza aktualnie obowiązujące układy zbiorowe pracy i przepisy kodeksu pracy.

Na marginesie zmian w systemie wynagradzania należy zgłosić sceptyczną uwagę i propozycję do podstawy obliczenia obciążeń na PFAZ tylko tych płac, które nie były obciążone wpłatami na ów fundusz. Z jednej strony jest to posunięcie uzasadnione, gdyż uniemożliwia dokonywanie przez przedsiębiorstwa olbrzymich wpłat na PFAZ, po to by podnieść sobie bazę i uzyskiwać korzyści placowe w latach następnych. Z drugiej jednak strony rozwiązanie to może spowodować kłopoty placowe w przedsiębiorstwach obciążonych poważnymi kwotami na rzecz PFAZ.

Sprawą wymagającą odrębnego potraktowania acz związaną z problemem systemu wynagradzania jest problem zwolnień z obciążeń na PFAZ. W obecnych rozwiązaniach istnieje cała gama ulg, z których najważniejszą jest ulga za wzrost produkcji wyrażony miernikiem produkcji sprzedanej netto. Ulga z tego tytułu sprzyja produkcji za wszelką cenę, przy wysokich kosztach i złej jakości. Modyfikacje systemowe obowiązujące od 1984 utrzymują dotychczasową obfitość ulg z obciążen na PFAZ. Kończąc analizę rozstrząsanego dokumentu

DWA POWAŻNE ZARZUTY

pod adresem modyfikacji w mechanizmie reformy. Pierwszym jest zupełny brak propozycji zmian w systemie centralnego planowania i strukturze oraz funkcjach ministerstw gależowych. A przecież wiadomo z obserwacji empirycznych, że ministerstwa te po przeprowadzeniu w 1981 niewielkiej modyfikacji w ich strukturze okrzepły na swych pozycjach i dążą do rozszerzenia swych uprawnień decyzyjnych wobec przedsiębiorstw. Zastój systemowy w tej dziedzinie może doprowadzić do tego, że obecna reforma podzieli los sławetnej reformy Wielkich Organizacji Gospodarczych z początku lat 70-tych. Drugi zarzut dotyczy przeregulowania systemu ekonomicznego, czego przejawem są szczegółowe regulacje uzupełniające podstawowe reguły systemowe. Autorzy modyfikacji utkali z drobiazgowych regulacji misterną pajęczynę narzucaną na ogólne zasady systemowe. Niektóre z tych regulacji są zbędne, a wiele z nich nie określa precyzyjnie zakresu działania i sposobu stosowania. Nadmiar różnorodnych ulg, przydziałów i limitów koncentruje zainteresowanie przedsiębiorstw na zabiegach o ich uzyskanie kosztem działań skierowanych na poprawę efektywności gospodarowania. Trzeba unikać nadmiaru regulacji, odrzucać szczegółowe pseudoregulacje prowadzące do uznaniowości i przetargów — inaczej sprawie reformy grozi przegrana. Jak odmilogizować przekonanie centralnej administracji, że „ręczne sterowanie” jest najskuteczniejszą metodą oddziaływania na procesy gospodarcze? Odpowiedź może być jedna — tylko przez głęboką przemianę w dotychczasowej roli i stylu działania tej administracji.

WITOLD KASPERKIEWICZ

Reforma w punkcie zwrotnym

ków towarowych jakby za pociągnięciem różdżki magicznej. Niecierpliwość cechuje nie tylko obywateli spodziewających się po reformie bardziej wymiernych niż dotychczas efektów, lecz również instytucje centralnej władzy gospodarczej, której pewne posunięcia ekonomiczne nie zawsze służą dobrze sprawie reformy.

W tej sytuacji tu i ówdzie rozlegają się głosy, że o reformie piszą już tylko „maniacy” czy „erotomani-reformatorzy”, bo przecież reforma nie daje pozytywnych skutków i nie ma sensu podtrzymywanie gasnącego płomyka nadziei na jej sukces. Maniaków łączy jednak słusne przekonanie, że owoce zmian systemowych nie mogą występować ani powszechnie, ani natychmiast po narodzinach reformy. Chlebuś reformy wypieka się powoli, a jego jakość zależy nie tylko od trafności rozwiązań systemowych i sposobu ich realizacji, lecz również od spłotu uwarunkowań obiektywnych (w tym od czynników społeczno-politycznych) i bieżących regulacji z zakresu polityki gospodarczej.

Warunkiem sine qua non pomyślnej kontynuacji reformy jest zapewnienie spójności decyzji będących domeną centralnej polityki gospodarczej z funkcjonowaniem nowego mechanizmu ekonomicznego. Z jednej strony rozwiązania reformy mają służyć wypełnianiu celów rozwoju społeczno-gospodarczego i dostarczaniu polityce gospodarczej właściwych instrumentów działania. Z drugiej zaś reforma systemu funkcjonowania gospodarki potrzebuje równoległego wsparcia strategicznego przy pomocy odpowiednich decyzji podjętych przez sterowniki polityki gospodarczej. Zadania tej polityki powinny być skierowane na rozwiązanie problemu inwestycji rozpoczętych jeszcze w latach 70-tych, odbudowanie zerwanych więzi kooperacyjnych, zagwarantowanie odpowiednich warunków dla rozwoju nauki i techniki, złagodzenie negatywnych skutków zadłużenia kraju itp. Mechanizm reformy należy wmontować do tej polityki czyniąc je istotnym, choć nie jedynym elementem centralnej strategii gospodarczej.

SKUTECZNOŚĆ REFORMY

w najbliższej przyszłości wymagać będzie spełnienia kilku innych ważnych warunków.

Po pierwsze, przebudowę struktury i stylu działania centralnych organów władzy gospodarczej. Proces reformy centrum gospodarczego zatrzymał się na dokonanym w połowie 1981 roku manewrze polegającym na zmniejszeniu liczby ministerstw gależowych z 11 do 6. W dalszym ciągu wielką niewiadomą jest sprawa ustawy o funkcjach i zakresie odpowiedzialności Rady Ministrów w gospodarce narodowej, a także Komisji Planowania jako organu sztabowego rządu.

Po drugie, ograniczenia zakresu reglamentacji czynników produkcji i rozszerzenia pola manewru przedsiębiorstw w elastycznym dostosowywaniu się do założeń centralnego planu i zmiennej warunków otoczenia.

Po trzecie, osłabienie tendencji inflacyjnych, które w znacznym stopniu paraliżują prawidłowe funkcjonowanie mechanizmów reformy, a zwłaszcza systemu motywacji materialnej, systemu cen i finansowego.

Po czwarte, kształtowania motywacji zainteresowania materialnego kierownictwa i załóg, tak by następowało silne powiązanie motywacji z rzeczywistością osiąganą efektywnością gospodarowania.

Po piąte, zdobycia społecznego poparcia dla programu reformy, które zależy od zespołu czynników politycznych, w tym przede wszystkim od postępów w dziele demokratyzacji życia publicznego. Jest to warunek o kapitalnym znaczeniu ze względu na fakt, że konsekwentna realizacja reformy wymaga częstokroć podejmowania decyzji niepopularnych w naszym społeczeństwie.

Po szóste, dokonania korekt w dotychczasowych rozwiązaniach reformy w celu wzmocnienia mechanizmów pobudzających aktywność przedsiębiorstw na rzecz przywracania równowagi gospodarczej, poprawy efektywności gospodarowania i ożywienia tendencji do wzrostu produkcji. Konieczna jest więc wnikliwa analiza instrumentów i mechanizmów reformy uwzględniająca cele i kierunki działania zawarte w NPSG na lata 1983-1985. Korekty te powinny być zgodne z generalnymi założeniami

reformy w celu realizacji swych własnych celów. Znacznie gorzej natomiast przedstawia się zdolność przedsiębiorstw do działań zgodnych z racjonalnością ogólnospołeczną. Jest to, jak wskazuje wiele ekspertyz poświęconych reformie, najsłabszy element nowych rozwiązań systemowych, swoista „pięta Achillesa” reformy.

NAWARSTWIE DOŚWIADCZEŃ

pierwszego okresu stosowania nowych mechanizmów i zmiany w ogólnych warunkach gospodarowania dyktują potrzebę dokonania modyfikacji w dotychczasowych rozwiązaniach, w tym przede wszystkim w zakresie tzw. rozwiązań przejściowych, które powinny ulegać stopniowej eliminacji. Akceptując nieodwołność modyfikacji należy wszelako zgłosić postulat stabilizacji skorygowanych reguł gry, gdyż ciągłe ich zmiany wprowadzają chaos do gospodarki, rodzą w przedsiębiorstwach taktykę dozwolenia efektów produkcyjnych i dążenie do wygrywania ulomności systemu regulacji ekonomicznej dla realizacji własnych celów. Kolejną próbą modyfikacji mechanizmów reformy, drugą po zmianach wprowadzonych w 1983 roku, jest projekt usprawnień systemowych opracowany przez Biuro Pełnomocnika Rządu d/s Reformy Gospodarczej i zatytułowany „Kierunki umacniania zasad i usprawnienia mechanizmów reformy od 1984 r.”. Dokument ów wywołał wiele kontrowersyjnych ocen, od wyważonych i raczej przychylnych począwszy na negatywnych — sygnalizujących nawrót do rozwiązań tradycyjnych skończywszy. Ze względu na dość rozległy zakres przewidywanych od 1984 roku zmian w mechanizmach reformy omówimy tylko najważniejsze kierunki modyfikacji.

W dziedzinie gospodarowania surowcami i materiałami nastąpi ograniczenie rozdzielnictwa podmiotowego (czyli na przedsiębiorstwa) deficytowych surowców i wprowadzenie nowej formuły zamówień rządowych, opartej na zasadach przetargu efektywnościowego. Celem tego przetargu będzie lokowanie zamówień u tych producentów, którzy — niezależnie od przynależności sektorowej — z określonej ilości czynników produkcji zagwarantują największą podaż wyrobu i najkorzystniejsze warunki realizacji zamówienia. Zamówienia rządowe obejmować będą swym zasięgiem szerszy niż dotychczas obszar produkcji wybranych materiałów i wyrobów gotowych, w tym przede wszystkim szczególnie ważnych materiałów zaopatrzeniowych oraz nieważniejszych artykułów rynkowych (np. odzież i obuwie dla dzieci, leki etc.).

POWAŻNE ZASTRZEŻENIA

budził sposób sformułowania w „Kierunkach...” problemu nadzoru ministra gospodarki materiałowej nad przedsiębiorstwami obrotu

dzenie przetargu nieograniczonego na sprzedaż majątku inwestycyjnego przez dotychczasowych inwestorów. Pozwoli to na stabilizację warunków działalności przedsiębiorstw i rozszerzenie zakresu samofinansowania przedsiębiorstwa.

Przypuszczać należy, iż przedmiotem szczególnej dyskusyjnej ocen specjalistów będzie fragment dokumentu poświęcony rozwiązaniom cenowym. W polityce cen przestrzegana będą następujące najważniejsze zasady:

1. W odniesieniu do pewnych towarów o charakterze luksusowym stosowane będą ceny równowagi rynkowej.

2. W sferze rozliczeń z tytułu eksportu pomiędzy producentami a przedsiębiorstwami handlu zagranicznego nastąpi powrót do szerokiego stosowania cen transakcyjnych.

3. Ograniczony zostanie zakres cen umownych w dziedzinie obrotu artykułami zaopatrzeniowymi na rzecz zwiększenia udziału cen urzędowych.

4. Ograniczeniu ulegnie zakres stosowania cen regulowanych na dobra konsumpcyjne. Rozszerzany natomiast zostanie zakres cen urzędowych.

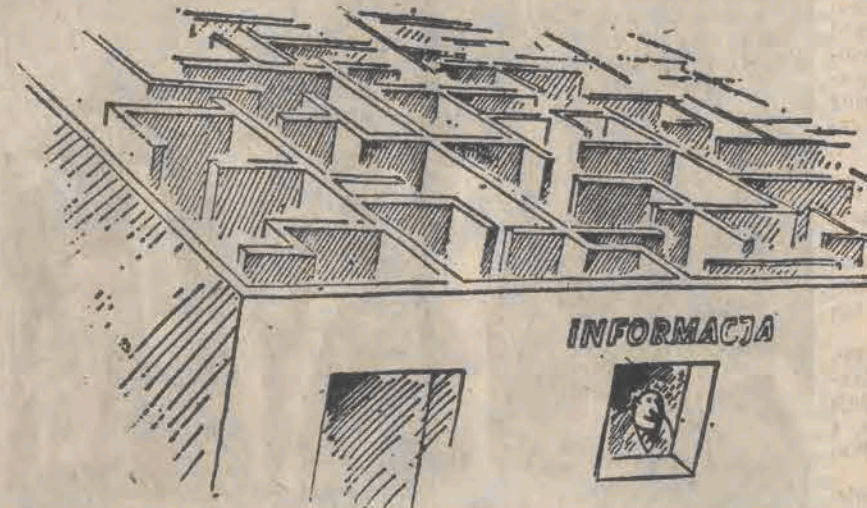
5. W celu zwiększenia skuteczności polityki cen wprowadza się okresowo ustalone pułapy wzrostu cen (maksymalny wskaźnik) dla poszczególnych grup wyrobów i usług lub branż. Przekroczenie owego pułapu spowoduje zastosowanie sankcji finansowych znacznie wyższych od korzyści płynących z przekroczenia ustalonego wskaźnika wzrostu cen.

6. Dla pewnych grup wyrobów i usług, w zakresie których niemożliwe lub nieskuteczne jest opieranie podatkiem obrotowym Rada Ministrów stosować będzie okresowe zakazy podwyższania cen z wyjątkiem przypadków, w których podwyżki spowodowały przyczyny niezależne od przedsiębiorstwa (np. wzrost cen surowców, energii itp.).

7. Producenti zobowiązani są przy kalkulacji ceny umowne posługiwać się kategorią kosztów uzasadnionych określoną w specjalnym rozporządzeniu.

ZAPOWIADANE ZMIANY W ROZWIĄZANIACH CENOWYCH

zadawola prawdopodobnie swolenników administracyjnej kontroli cen, a smartwią oędowników koncepcji cen umownych kształtowanych w oparciu o zasadę równowagi rynkowej. W istocie rzeczy zmiany w polityce cen na 1984 r. oznaczają zwiększenie zakresu występowania cen urzędowych i wprowadzają dość niebezpieczne z punktu widzenia logiki nowego mechanizmu rozwiązanie, a mianowicie okresowe zakazy podwyższania cen. Rozwiązania te srodziły się zapewne pod wpływem ogólnej niechęci społeczeństwa do cen umownych, które w minionym okresie obarczono odpowiedzialnością za ogólny wzrost cen. Powstał nawet stereotyp myślowy, że ceny urzędowe są „dobre”, natomiast umowne „złe”. Tym-



Rys. Juska

Sprawa Polski — sprawą rewolucji

Dokończenie ze strony 1

Międzynarodowe echo powstania rozległo się w całej Europie...

Po wybuchu powstania w kręgach europejskich liczone się z szybkim zwycięstwem w Królestwie wojsk dybickich...

O ile prasa pruska była nastawiona nieżyczliwie, a niektóre dzienniki wręcz wrogo do powstania w Królestwie...

Popularność sprawy polskiej zaznaczyła się w czasie przemarszu emigrantów przez Niemcy...

Powstańcy w latach 1831/32 w Niemczech dużo wierszy i pieśni o Polsce i powstaniu...

Oficerowie i żołnierze walczący pod Grochowem, Ignianami czy Ostrolęką...

Współcześni zarówno na wschodzie, jak i na zachodzie uznali powstanie listopadowe...

Władysław Bortnowski

z gorącą sympatią powitała wybuch powstania listopadowego...

Szczytowy punkt osiągnęła niemiecka sympatia dla powstania nad Renem...

Powstanie w Polsce pobudziło Niemców do dalszych walk o swobody konstytucyjne...

W SAKSONII

Sytuacja, kształtująca się na terenie Niemiec, zwłaszcza w Saksonii...

Wielką sympatią cieszyła się sprawa Polski na terenie Saksonii...

Wielką sympatią cieszyła się sprawa Polski na terenie Saksonii...

Saksonia, której losy tak ściśle i tak długo z naszymi były powiązane...

O głębokiej sympatii do Polaków, panującej wśród Saksończyków...

ha 200, którą podaje „Gazeta Augsburgska”...

W Dreźnie dochodziło do szeregu burzliwych wystąpień ludności...

HENRYK KOCÓJ

Sympatie i poparcie

syjska i pruskie władze graniczne, a pruski poseł w Dreźnie Jordan...

W BAWARII

Wielką sympatią cieszyła się sprawa polska na terenie Bawarii...

Podobnie jak w Monachium, żywą sympatią cieszyła się sprawa polska...

W Monachium ukazywała się w drugiej połowie 1831 r. wydawana przez Dr Wirtha...

W Monachium ukazywała się w drugiej połowie 1831 r. wydawana przez Dr Wirtha...



Exodus powstańców po upadku powstania. Mal. Monton, Lit. Tyumie

W artykule z 27.VII.1831 r. czytamy:

„Wykreślenie szlachetnego narodu spośród państw europejskich to akt gwałtowny...

Ważnym powodem wyrażenia autor pracy wydanej w Altenburgu...

na konstytucyjną państwową Niemiec i z Niemiec powstała pierwszorzędna potęga”...

Mianowicie polskie produkty rolne będą eksportowane do Niemiec...

W STUTTGARCI

Podobnie jak w Monachium, żywą sympatią cieszyła się sprawa polska w Stuttgarcie...

Na terenie Stuttgartu ukazywało się szeregiem prac dotyczących sprawy polskiej...

ważał, że Prusy nie powinny być tak usłużne wobec Rosji...

Podobne zapatrywania wyrażał autor pracy wydanej w Altenburgu w 1831 r. Wilhelma Becker...

Powstanie polskie cieszyło się również wielką sympatią w in-

berlińskich spotykali się oficerowie, wśród których znajdowało się wielu przyjaciół Polski...

Ze sprawą polską sympatyzowało kilku uniwersyteckich profesorów. Jednym z nich był Edward Gans...

W siedzibie rosyjskiego ambasadora Alopeusa zbierał się liczny grono Rosjan...

Z nastrojów panujących w Berlinie mocno był niezadowolony ambasador rosyjski Alopeus...

Alopeus otwarcie zarzucał pułkownikowi Willisenowi i generałowi...

W BERLINIE

Pewne koła berlińskie ustosunkowały się przychylnie do powstania listopadowego...

„W rodzinie królewskiej książę następca tronu zdaje się zgadzać z opinią...

Z sympatiami na rzecz powstania spotkać się można było nie tylko w Berlinie...

Przemysł lekki wcale nie jest lekki! — to stwierdzenie po raz pierwszy padło już wiele lat temu, poparte argumentami o dużym wysiłku zatrudnionych w tej branży ludzi, przede wszystkim kobiet, stanowiących zdecydowaną większość zatrudnionych, o niskich, znacznie odstających od wynagrodzeń w pozostałych resortach placach, o trudnych warunkach pracy. Od tego czasu powtarzano je wielokrotnie i przy różnych okazjach. I niewiele z tego wynikało, aż do początku lat osiemdziesiątych, kiedy to, posługując się tymi samymi argumentami, ludzie zaczęli masowo opuszczać przedsiębiorstwa i tkalnie, zakłady dziewiarskie i konfekcyjne i wszystkie pozostałe fabryki przemysłu lekkiego. Przeszła lśnić trzecia zmiana, z obsadzeniem drugiej zdecydowaną większość zakładów ma poważne trudności. Spadła wielkość produkcji. Zarówno kierownictwo zakładów, jak i nowe związki zawodowe, organizacje partyjne i młodzieżowe od wielu już miesięcy podnoszą alarm: trzeba zrobić „coś”, aby zahamować odływ ludzi, zanik zakłady wyłudnia się zupełnie. Padają propozycje rozmaitych środków zaradczych — wśród nich na pierwszym miejscu konieczność podniesienia płac — a jednocześnie szuka się odpowiedzi na pytanie, co się stało z ludźmi, dlaczego odeszli ich aż tylu? Winny znalazł się — w powszechnej dość opinii stał się nim sektor prywatny — zarówno firmy polonijno-zagraniczne, jak i rzemieślnicy — który „podkupili” ludzi, oferując im znacznie wyższe zarobki.

Kiedy już znalazł się winnego, to choć sytuacja od tego się nie poprawiła, żyć jest znacznie łatwiej. Przynajmniej wiadomo, do kogo mieć pretensje. Wydaje się jednak, że jest to zbyt duże uproszczenie sprawy. Ci sami ludzie zresztą, którzy na co dzień chętnie „najeżdżają na prywatniarzy” w spokojnej rozmowie potrafia wymienić również inne przyczyny, co najmniej tak samo ważne, odpływu ludzi z zakładów państwowych (nie tylko przemysłu lekkiego, choć właśnie w tej branży zjawisko jest najbardziej masowe i odczuwalne).

Przyjrzyjmy się na początek danym, obrazującym w sposób niezbyt co prawda dokładny — ruch kadrowy w województwie łódzkim. Na koniec roku 1980 mieliśmy 589,4 tys. zatrudnionych ogółem, z czego w sektorze uspołecznionym 514 tys., w nie uspołecznionym — reszta, czyli 55,4 tys., w tym w rzemiośle 19,5 tys. ludzi. W rok 1983 weszliśmy z zatrudnieniem mniejszym ogółem o 42,7 tys. W sektorze uspołecznionym zatrudnienie zmalało w tym czasie o 51,4 tys. osób, w nie uspołecznionym — wzrosło o 8,7 tys., z czego w rzemiośle przybyło 5,4 tys. pracowników, w firmach polonijnych niespełna 1 tys. Trudno więc mówić, że właśnie tu, w prywatnych zakładach znaleźli się ludzie, którzy odeszli z fabryk. Tym niemniej ubytek wśród załóg wielu zakładów jest znaczny, a jego skutki trudne do zlikwidowania, zwłaszcza w krótkim czasie, na drodze zmian organizacyjnych czy nawet technologicznych.

Dla przykładu — łódzka „Femina”, znany w całym kraju producent bielizny. O sytuacji kadrowej w zakładzie rozmawiałam z Jadwigą Nowakowską, pracownicą szwalni, członkinią KC PZPR oraz zastępcą dyrektora Zdzisławem Kwapińskim. „Sercem” zakładu, decydującym o końcowych efektach produkcyjnych jest szwalnia. I na tym właśnie wydziale najbardziej widać ubytek załogi. Do roku 1980 pracowały tu średnio 784 szwaczki. Ostatniego grudnia 1981 r. było ich o 12 mniej w ciągu następnego roku ubyło dalszych 108 osób. Pod koniec roku ubiegłego pracowało już tylko 607 szwaczek, a obecnie jest ich 530. W porównaniu z okresem przedkryzysowym zatrudnienie zmniejszyło się więc o 254 osoby, czyli o blisko jedną trzecią.

Dokąd poszły? Jak wszędzie, tak i tu dał się odczuć przepięknie zjawisko na wcześniejsze przechodzenie na emerytury. Jak we wszystkich tzw. kobiecych zakładach również przykro odczuwa się dużą liczbę przedłużonych urlopów wychowawczych. Także — zmianę miejsca zatrudnienia, w tym właśnie przejście do sektora prywatnego.

Choć nie to jest — jak już

stwierdziłam — najbardziej znaczącą liczącą pozycją, takie odejścia w dużym stopniu przyczyniają się do pogorszenia nastrojów ludzi, skłaniają niektórych do rezygnacji się za inną, w ich mniemaniu lepszą, pracą, wielu — choćby do nigdy nie zrealizowanych marzeń o podjęciu takich kroków. Kto bowiem odszedł z zakładu? Młode dziewczyny, o bardzo krótkim stażu zawodowym. Wśród nich takie, które prawie nigdy nie wyrabiały przewidzianej normy, uzyskiwały tym samym najniższe zarobki. Obecnie, spotykając się z dawnymi koleżankami, imponują zarobkami kilkakrotnie wyższymi. Czy przy okazji mówią i o tym, że w czasie 8 godzin pracy w firmie polonijnej czy u rzemieślnika nie stoją w kolejce do zakładowego bufetu, nie palą papierosów, nie opowiadają swym współpracownikom rodzinnej sagi, ba, nawet zapominają o tym, że od hałasu maszyn powinna je boleć głowa? Czy pamiętają, że podczas

mi, którzy odeszli, krzywdą. Podobna atmosfera panuje w aleksandrowskiej „Sandrze” — i tu robotnicy z niechęcią odnoszą się do przedstawicieli prywatnego sektora, widząc w nim nie tylko źródło kadrowych kłopotów w zakładzie, ale także — a może nawet przede wszystkim — drażnią ich przykłady szybkiego powstawania fortun, nieosiągalnych dla pracownika zakładu państwowego, bez względu na to, jak sumiennie i wydajnie pracuje. Tu sprawa przedstawia się jeszcze ostrzej, niż w jakimkolwiek łódzkim zakładzie. Aleksandrow jest bowiem niewielkim miasteczkiem i to, co w Łodzi pozostaje niezauważone, tu widać wyraźnie. Niemal każdy mieszkaniec potrafi więc wymyślić nowe samochody, jakie w ostatnich miesiącach kupili aleksandrowscy rzemieślnicy, ze sporą dokładnością wyliczyć ich dochody i porównać z zarobkami uzyskiwanymi poprzednio, przed otwarciem warsztatów. Co trytuje ludzi szczególnie — to fakt, że powstają

obróć przedzą. Kradzieże z zakładu są faktem — a przecież żaden ze złodziei nie kradnie, aby potem wyrzucić. Tymczasem w warsztatach jakoś nie się z tego nie znajduje. Kolejna sprawa — wymagająca uregulowania na szczeblu centralnym — to podatki. Nowe zasady niewiele zmieniły w działalności rzemieślników. Trudno się dziwić, iż ludzi bulwersuje fakt, że ich były kolega — pracownik zakładu państwowego, po roku czy dwóch działalności na własny rachunek dysponuje majątkiem kilkakrotnie większym, niż mógłby zgromadzić w ciągu kilkudziesięciu lat pracy w zakładzie. Denerwuje tym bardziej, że wielu spośród nowobogackich rzemieślników wprost szasta pieniędzmi, afiszując się zdobytym majątkiem, jednocześnie okazując lekceważenie tym „gorszym i głupszym”, którzy trzymają się państwowych posad.

Naczelnik miasta i gminy Wacław Skulski: „Wokół tematu sektor prywatny a zakłady państwowe narasta szum,

że ludzie wiedzą więcej, niż oficjalne kontrole. Mówi się o tym, że oprócz członków rodziny czy oficjalnie zarejestrowanych pracowników rzemieślnicy zatrudniają ludzi „na dziko” — po południu, czy nawet w nocy, gdy kontrole nie chodzą. Ze w konserwacji maszyn pomagają im — po godzinach pracy — mistrzowie z „Sandry”, „Aleksandrowianki” i „Przodownika”. Ze praca w wielu warsztatach trwa nie 8 godzin, ale niemal na okrągło. Ale nie wystarczy to wiedzieć — trzeba jeszcze udowodnić. Nie wymaga natomiast żadnych dowodów bezsporny fakt — wyrobry rzemieślników branży pończosznicznej są złej jakości. A przy tym najlepsze i najdroższe skarpetki z zakładu państwowego czy spółdzielni są dwukrotnie tańsze, niż rzemieślniczy bubel. Urząd Miasta nie może jednak — nie ma do tego podstaw prawnych — czuwać nad jakością wyrobów. Wielu rzemieślników, po uzyskaniu odpowiednich zezwoleń w UM w

tym względem ubiegły rok. Obecnie nastąpiła pewna poprawa. Wzrosły wynagrodzenia, jednocześnie wzrosła wydajność i zmniejszyła się liczba odchodzących. Jednak to, co już się stało — nie da się „odkłębić”. Nie bójmy się oczywiście konkurencji sektora prywatnego. Ich wyroby nigdy nie będą tak dobre, jak nasze. Ale co tu chyba nie jest w porządku, o czym świadczą m.in. kradzieże w zakładzie. Takie przypadki zdarzają się zawsze, ale w latach poprzednich ginęły wyroby gotowe. Obecnie — ginie wyłącznie przedza. Ostatnio udaremnił kradzież 38 kg przedzy elastylowej (na 1 parę skarpet potrzeba ok. 6 dag). Widać musi się to złodziejom opłacać.

Dane z działu kadr „Sandry”: Średnie zatrudnienie zmniejszyło się z 3224 w roku 1980 do 2573 w 1983. W tym czasie (łącznie) odeszło z zakładu za porozumieniem stron 171 osób, porzuciło pracę 155. Wydaje się, że przede wszystkim w tych dwóch grupach szukać należy potencjalnych kandydatów do rzemiosła. W tym samym czasie 685 osób odeszło na renty i emerytury, 467 kobiet na urlopy wychowawcze.

O negatywnych skutkach rozwoju sektora prywatnego mówi się ostatnio wiele, i to już nie tylko w prywatnych rozmowach, czy na zebraniach załóg. Akcenty takie pojawiają się również w wypowiedziach osób oficjalnych. Liczby z kolei wskazują na co innego: to nie „prywatniarze” winni są trudności, z jakimi borykają się państwowe zakłady. A jednak zarówno zwolennicy dalszego, szybkiego i nieskrępowanego rozwoju ograniczenia rozwoju sektora prywatnego jak i jego przeciwnicy mają swoje racje. Racją tych drugich jest przede wszystkim nastroj załóg robotniczych. Ludzie, którzy pracują w przekonaniu o tym, że dzieje im się krzywda, że wysiłek ich nie jest wynagradzany w sposób należyty, ludzie, wierzący iż tylko ewanctwo i nieuczciwość (które to cechy chętnie przypisuje się przedstawicielom sektora prywatnego) mogą stworzyć warunki do zapewnienia sobie odpowiedniego poziomu życia, którego widocznym elementem jest zagraniczny samochód, po prostu ludzie żyjący, w poczuciu niesprawiedliwości społecznej nie będą naprawdę dobrymi pracownikami, zaangażowanymi w życie zakładu i swojego środowiska.

TERESA JERZYKOWSKA

Każdy ma rację



Foto: Miroslaw Zajdel

gdą w „Feminie” nie wykonywały normy, obecnie starają się przekroczyć wyższą? Należy wątpić.

Obok młodych dziewcząt odchodzili również — choć rzadziej — stare szwaczki, kilka lat przed emeryturą, wykwalifikowane i wydajne pracownice, podając jako jedyny motyw swej decyzji możliwość uzyskania wyższych zarobków. Jakże jednak powinny być pensje w „Feminie” i innych, podobnych zakładach, aby nie odchodziły z nich kobiety? Konkretnie odpowiedź na to pytanie nikt — nawet same zainteresowane — nie potrafiła udzielić.

Od września 1983 r. ludzie przestali odchodzić. Ba, obserwowano się nawet... powroty. Zgłosiło się do zakładu kilka osób, które odeszły na przyspieszoną emeryturę, wyrażając chęć podjęcia pracy na pół etatu. Parę młodych kobiet przerwało urlop wychowawczy, wróciła szwaczka z polonijnej firmy, twierdząc, że praca tam była dla niej zbyt męcząca.

Podkreślić jednak trzeba, że są to przypadki jednostkowe, nie zmieniające sytuacji kadrowej w firmie.

Tak więc obecna sytuację w „Feminie” cechuje z jednej strony pewna stabilizacja — z drugiej ciągle niezadowolenie ludzi, przekonanych, że dzieje się im — w porównaniu z ty-

tu zakłady niejako „konkurencyjne” dla „Sandry”, tej samej, pończosznicznej branży.

I sekretarz KM-G PZPR Józef Goss mówi: „Wydaje się, że sprawa jest poważna, coraz poważniejsza. Na zebraniach, nie tylko w „Sandrze”, ludzie mówią o nadmiernym bogaceniu się rzemieślników, o tym, że w Aleksandrowie jest ich po prostu zbyt wielu — 140 punktów branży dziewiarsstwa maszynowego, w tym pończosznictwo. Większość powstała w ostatnich latach. Tymczasem w „Sandrze” brakuje ludzi, nastili się znacznie kradzieże przedzy. O otwarciu warsztatów ubiegają się kolejne osoby. Czyja wina, że taka sytuacja zaistniała? Nie sposób wskazać jednego winnego, ale warto wymienić kilka czynników, wśród nich działalność Izby Rzemieślniczej i cechu. Osoba ubiegająca się o otwarcie warsztatu musi wykazać się odbyty praktyką i przedstawić opinię. Nie było jak dotąd przypadku, aby opinia była negatywna. Pozytywną otrzymał nawet człowiek, który przedstawił sfałszowane zaświadczenie o odbyciu praktyki. Jego rzekomy mistrz w podanym czasie odbywał karę więzienia. Działalność opiniujących instytucji jest — nie tylko moim zdaniem — zbyt liberalna. To samo można zarzucić organom kontrolującym, zwłaszcza jeśli chodzi o

tworzy się coraz gorsza atmosfera. Mamy 62 zakłady dziewiarsko-pończoszniczne, w tym 26 pończosznicznych. W każdym z nich po 2-4 maszyny. Teoretycznie może je obsługiwać jeden człowiek, praktycznie rzemieślnikowi pomaga na ogół cała rodzina. W latach 1981-83 warsztaty rzemieślnicze otworzyło 14 byłych pracowników „Sandry”, przy czym ostatnie zezwolenie wydaliliśmy z datą 30 czerwca br. Obecnie nie udzielamy zezwoleń na w uruchomienie rzemiosła tej branży, chociaż wszyscy, którzy starają się o to legitymują się pozytywną opinią cechu. Na wiosennej sesji radni podjęli uchwałę o preferowaniu rzemiosła faktycznie potrzebnych na naszym terenie: produkcji materiałów budowlanych z miejscowych surowców, usługowych w różnych dziedzinach oraz rzemiosła pracujących na rzecz rolnictwa. Administracja nie ma możliwości cofnięcia rzemieślnikowi koncesji bez uzasadnionych, określonych przepisami przyczyn. Nie było takich przypadków — a więc ci, którzy już rozpoczęli działalność, prowadzą ją nadal. Szum, jaki powstał wokół tego spowodował w ostatnim okresie nasilenie kontroli. Po ostatniej kontroli PIH w warsztatach nie stwierdzono żadnych uchybień, także pod względem legalności zaopatrzenia w surowce. Rozumiem,

Łódź sprzedaje swoje wyroby w innych regionach kraju. U nas, przy stosunkowo dobrym zaopatrzeniu w wyroby pończoszniczne, nikt by ich nie kupił.

I sekretarz KZ PZPR w „Sandrze” Czesław Wawrzyniak: „Jakich argumentów używacie wobec ludzi, gdy pytają, dlaczego dziewczęta, obsługujące nowoczesny automat, nie zarobią nawet w połowie tyle, co prywatny właściciel starej, wycofanej z zakładu maszyny? Dlaczego złej jakości „elastyczna rura” bez wyrobionej pięty, z zaszytymi prosto palcami (w ten sposób zmniejsza się pracochłonność) kosztuje dwa razy tyle, co I jakości skarpetka z welinowej przedzy? Oczywiście, mówi się o tym, że pracownicy zakładów państwowych korzystają z dodatkowych świadczeń jak choćby dopłaty do czasów, że pracują w lepszych warunkach. Ludzie o tym wiedzą, ale jednak dysproporcje dochodów są nieuzasadnione. Odeszło z zakładów wielu ludzi. Otworzyli warsztaty rzemieślnicze, niekoniecznie w Aleksandrowie, nie zawsze też branży pończosznicznej. Np. jeden z naszych byłych mistrzów został... piekaczem. Najgorzej dotknął nas właśnie fakt, że odchodziła kadra mistrzowska, ludzie, których trudno zastąpić. Z trzech zmian zeszlismy na dwie. Szczególnie zły był pod

Dokończenie ze strony 1

mydło oraz mydło toaletowe, makarony, obuwie, wszelkie ubiory. Nawet okrycia głowy, czyli kapelusze.

— Centralny podział towarów ogranicza więc pana samodzielność.

— Naturalnie, bo otrzymuję towar tak, jak każdy inny, nawet najmniejszy sklepik. Centralny rozdzielnik powoduje i to, że otrzymuję mniej atrakcyjny towar, i to często od producenta mającego swoją siedzibę na krańcach Polski, podczas gdy niejednokrotnie mógłbym znaleźć producenta w pobliżu i produkującą podobny, często lepszy jakościowo towar. Rozdzielnik to administracja, a nie operatywne działanie.

Posłużę się może konkretnym przykładem. Wiadomo, że są przedsiębiorstwa, które mają

towarów nie wymienia, są to: zapalniczki, papierosy, wina, wódki, wspomniane już

po wszystkim. Ale ta procedura często trwa tak długo, że zagraniczny kontrahent zwykają nie się rozmyśla.

— Kupcowi zagranicznemu oferuje pan towar zdjęty z naszego rynku. Ludzie tego nie lubią. Zdaje pan sobie z tego sprawę.

— Naturalnie. Kontrahentowi zagranicznemu oferuje towar, który, oczywiście, sprzedabym również w Łodzi. Tylko, że jeśli już oferuję coś do wymiany, to działam tak, żeby otrzymać towar atrakcyjniejszy, bardziej wartościowy finansowo, i w większej ilości. Korzystają z tego klienci, korzysta z tego dom handlowy, a i skarb państwa.

— Co „Central” może zaoferować zagranicznemu kontrahentowi?

— Na przykład ścierki lniane i koce łąkowe z anilany. Sprzedawaliśmy je zresztą od lat. Wymieniamy teraz płaszcze elanobawełniane na swetry z wełny szetlandzkiej. Płaszcze

W Polsce towarów nie brakuje, trzeba tylko umieć szukać

surowiec, ale nie mają ludzi. Są takie, które mają ludzi, ale nie mają surowca, i wreszcie takie — które nie mają ani jednego, ani drugiego. Łódzki „Stomil” na przykład ma maszynę, ma surowiec, brakuje mu ludzi. Ja mu, oczywiście, ludzi nie dam, ale mogę pomóc w inny sposób. Co bowiem trzeba zrobić, żeby załoga „Stomilu”, bez zwiększania zatrudnienia, dała większą produkcję? Trzeba podnieść wydajność i pracować w wolne soboty. Dyrektor „Stomilu” może do swoich pracowników apelować, ale oni go albo posłuchają, albo nie. Ja natomiast mogę im dać coś konkretnego, czyli możliwość nabycia na kiermaszach organizowanych w zakładzie artykułów deficytowych. Ale z zastrzeżeniem, że będą je mogli mieć tylko ci, którzy będą pracować w wolne soboty. Np. tym, którzy przepracowali w ubiegłym roku 10 wolnych sobót, umożliwiłem nabycie na talony poszukiwanych kozaków oraz zakup — w drodze losowania — sprzętu gospodarstwa domowego. Po pierwszym kiermaszu urządzonym w „Stomilu” produkcja w wolne soboty z 1000—1500 par obuwia skoczyła do 25000—30000 par.

— Rozumiem, że część tej produkcji klienci mogli kupić w „Centralu”.

— Oczywiście. Inaczej nie miałyby to wszystko sensu. Jeśli zdejmuję z rynku towar i kieruję go do sprzedaży w zakładzie pracy, to w zamian za to muszę dać na rynek inny towar, i to o większej wartości finansowej i w większej ilości. Umówiliśmy się ze „Stomilem”, że jedna czwarta produkcji z wolnych sobót trafi do „Centralu”. Ale tu właśnie pojawił się centralny rozdzielnik. Rozumowanie decydentów było takie: „Stomil” wyprodukował więcej, więc trzeba to podzielić między 49 województw. A ja na to mówię, że gdyby nie moja akcja, gdyby nie pomoc „Centralu” dla załogi „Stomilu”, to przecież tej większej produkcji w ogóle by nie było. I „Central” dostałby większą ilość obuwia gumowego ze „Stomilu”, ale... wbrew przepiśm.

— Jaki pan wyciągnął z tego wniosek?

— Że mógłbym więcej takich akcji przeprowadzić i przyczynić się do wzrostu produkcji w innych zakładach. Ale jeśli mam to robić dla wszystkich, czyli dla nikogo, jeśli mam mieć z tym masę kłopotów, to ja po prostu nie mam na to czasu. Byłem niedawno w Lublińcu. Jest tam fabryka, która bardzo ładnie pikuje tkaniny. Nie mają jednak surowca. Więc ja im dam ten surowiec, oni będą mieli co robić, ja poszukam producenta, który z tej pikowanej tkaniny uszyje mi modną odzież. Tylko muszę mieć pewność, że ta odzież będzie mogła sprzedać w „Centralu”.

— Tęgo rodzaju działania powinny być powszechnie obowiązujące, jeśli reforma ma przynieść oczekiwane efekty. Z tego co pan mówi wynika, że dużo by jeszcze trzeba reformować w reformie.

„Central” od lat prowadzi wymianę handlową z zagranicą. Jak to wygląda teraz, w nowych warunkach. Czy macie tutaj większą swobodę?

— Niezupełnie. Jeśli chodzi o wymianę z domami towarowymi w krajach socjalistycznych, to tę swobodę rzeczywiście mamy. Ale nie mamy jej w wymianie towarowej z firmami zachodnimi. Mimo to przeprowadziliśmy w tym roku kilka takich transakcji, choć można ich było przeprowadzić znacznie więcej.

— Co przeszkadza?

— Jest to długi i skomplikowany proceder. Najpierw muszę znaleźć kupca, którego zainteresuje to, co mam do zaoferowania. Później on musi zaoferować w zamian taki towar, który interesuje mnie. Następnie muszę znaleźć centralę handlową, która sechce taką transakcję przeprowadzić. Dalej — ta centrala musi uznać na to zgodę z Ministerstwem Handlu Wewnętrznego i Usług oraz Ministerstwem Handlu Zagranicznego. No i, wydawałoby się, już

musiałoby poczekać w magazynie do wiosny, a swetry są potrzebne teraz na zimę. Myślę, że zrobiłem dobry interes. Wymieniamy też inne artykuły, mniej interesujące klienta, np. palety dla transportu towarów. Mogłem za nie otrzymać nie paloną kawę, którą przepaliłbym u siebie i sprzedał po oficjalnej cenie. Ale nie dostałem zezwolenia.

— Dlaczego?

— Nie umiem na to odpowiedzieć. Ale dam panu inny przykład. Mogę teraz wymienić za atrakcyjne towary cebule. Ale na zgodę na te transakcje czekam już 6 tygodni i boję się, że zagraniczny kontrahent nie będzie czekał i kupi cebulę gdzieś indziej.

— A co byśmy dostali za tę cebulę?

— Dostalibyśmy koszule, czekoladę, kawę, rodzynki.

— O korzyści dla rynku i klienta nie ma co dyskutować. Gdzie ta transakcja ukinęła?

— W uzgodnieniach pomiędzy ministerstwami.

— To ile ministerstw musi się zajmować tą nieszczęsną cebulą?

— Wolalibyśmy nie odpowiadać na to pytanie.

— Dobrze. Wróćmy więc do spraw wymiany handlowej z zagranicą. Wspomniałem już, że ludzie z nas nie lubią eksportu. Jak pan sądzi, dlaczego?

— Nie rozumiem, że jeśli dziś nie będziemy eksportować, to jutro nie będziemy mieli bogatszej oferty na własnym rynku. Musi być wymiana handlowa z innymi krajami. Ale w tej wymianie nie może przeszkadzać nieruchomości central handlowych i ministerstw. Znakomitym przykładem może być tutaj węgierski dom towarowy „Skala”. Przenacza on 25 proc. swoich towarów na wymianę handlową z zagranicą. W zamian otrzymuje 50 procent towarów. Za to się im opłaca, nie muszą chyba nikogo przekonywać. Przy każdej wymianie z zagranicą zwiększa się — jak już mówiłem — i ilościowa, i wartościowa masa towarowa. Wobec tego i z ekonomicznego, i z społecznego punktu widzenia wymiany są nierzeczywiście korzystne.

— Na początku reformy mieliśmy nadzieję, że między poszczególnymi planami handlu zacznie się konkurencja, która w efekcie da klientowi bogatszą ofertę. Ale jakiej tej konkurencji nie widać. Co przeszkadza?

— O konkurencji i rywalizacji można będzie mówić dopiero wtedy, kiedy centralny rozdzielnik będzie obejmował tylko towary strategiczne, natomiast starania o resztę będą zależały od inwencji i operatywności handlowców. Dopiero wówczas będzie można mówić o tym, kto i jak pracuje.

— Czy sądzi pan, że wówczas handel będzie mógł wywierać presję na przemysł, aby produkował to, co jest modne i poszukiwane? Na przykład teraz, w Paryżu, modne są pantofle na płaskim obcasie, a nas przemysł obuwia czy ciągle proponuje szpilki. Obuwia mamy jakby więcej, można już je kupić, ale jeszcze nie można wybierać.

— Nie zgodziłbym się z tą opinią. Na przykład oferta „Radoskóru” miała połowę modnych krótkich kozaków na płaskim obcasie, a połowę tradycyjnych — na wysokim. Trzeba jednak pamiętać, że w modzie między Paryżem a Polską jest różnica roku a nawet półtora. Nie wszyscy z miejsca przechodzą na to, co modne w Paryżu. Pamiętajmy również, że i silny są u nas lano. Gdyby przemysł nie dał tradycyjnych długich kozaków na wysokim obcasie, to wyobrażam sobie, jaki podniósłby się kryk.

— No, dobrze. Ale zgodzi się pan, że przemysł nawet z gorszego surowca mógłby produkować obuwie ładniejsze.

— Proponuję zapytać o to samych producentów. Zapewne powiedzą pani, że za dużo jest decydentów, którzy dyktują co i jak trzeba produkować.

— A ja spotkałam się z opinią, że to nie decydenci utrudniają reformę w fabrykach, ale ci, którzy ją tam mają wprowadzać w życie.

— Nie sądzę. Robią to, co im się bardziej opłaca. Robią na przykład produkcję rynkową, bo ta im się opłaca bardziej, niż produkcja eksportowa. Ale o znaczeniu eksportu już mówiłem.

Wróć jeszcze do obuwia. „Otmę” pokazał już na przykład pewne nowości: będzie produkował adidasy i obuwie gumowe. „Stomil” będzie robił gumowe buty ocieplane — już niedługo będą w „Centralu” do kupienia. Inni też zaczynają szukać nowych rozwiązań. Wykazała to ostatnia giełda, na której zresztą handel nie kupił wszystkiego, co pokazano. Wynika więc z tego, że tam, gdzie jest dyrektor z otwartą głową, tam szuka się nowych rozwiązań, i to jest już pozytywny skutek reformy. Sądzę, że z obuwiami nie będzie źle, bałbym się nawet nadmiaru obuwia.

— Powinno to wpłynąć na obniżenie cen.

— Może i tak się stanie. Ale przewiduję jednak, że będzie brakowało obuwia luksusowego. Przemysł już teraz powinien o tym myśleć, ale nie wiem, czy wszyscy pójdą w szych poszukiwaniach nowości w tym kierunku.

— Czy sądzi pan, że takich dyrektorów z otwartą głową jest dużo?

— Nie do mnie należy wydawanie ocen. Mogę tylko powiedzieć, że rozumiem uwarunkowania, w jakich niejedni dyrektor musi działać. Brakuje mu surowca, załoga żąda wyższych płac, a rynek domaga się towarów. Zgubić się w tym nie jest trudno.

— Z tego co pan robi wynika, że handel może w trudnościach przemysłu sporo pomóc.

— Handel musi być operatywny. Jednemu producentowi trzeba dać informację, co powinien produkować, innemu — gdzie znaleźć ludzi i surowiec, jeszcze innemu czasami przyjąć z bezpośrednią pomocą. „Central” na przykład skierował do jednego z zakładów ponoczościowych dziesięciu „wólich” ludzi, którzy pracują tam już od pięciu miesięcy. Ale to, co wyprodukują, sprzedajemy u nas w „Centralu”.

Współpracujemy z przemysłem również i dla innych korzyści. Choćby po to, żeby przeciwstawić się spekulacji, a jednocześnie atrakcyjnie naszą ofertę.

— Na przykład?

— Na przykład zamiast tetry sprzedajemy pieluszki. Tetra wykupywano na sukienki, pieluchy — już się nie opłaca. Z tego samego powodu nie sprzedajemy tkanin pościelowych, ale całe komplety. Nie sprzedajemy tkanin teksasowych, ale już np. uszyte spodnie. Jak mówiłem, przeciwdziałam spekulacji, pozwala wykorzystywać możliwości produkcyjne zakładów pracy oraz wzbogaca naszą ofertę.

— Ale też taki atrakcyjny towar kosztuje więcej.

— Bo i wkład pracy jest większy.

— Czy obniżacie ceny, korzystacie z możliwości przeceny?

— Tak. Zrobiliśmy to z dżemami. Na początku ubiegłego roku nie było ich w ogóle, później się pojawiły i były bardzo drogie, bo w tej sytuacji producent mógł dyktować cenę. W efekcie dżemy stały na półkach i trzeba je było wreszcie przecenić. Ale efekt tego jest taki, że produkcja przetworów z tego roku jest już tańsza. Sądzę, że producentowi nie udało się już po raz drugi taka sztuczka z celowym przetrzymywaniem towaru.

— Wielu handlowców narzeka na brak towarów. Jak to wygląda w pańskich magazynach?

— Nie narzekam. W stosunku do stycznia 1980 roku zapasy w magazynach zwiększyły się nam dwukrotnie i są one zbliżone do zapasów z 1979 roku. W „Centralu” problem nie polega na tym, że nie ma co sprzedawać, ale na tym, że nie ma gdzie sprzedawać. Gdy wreszcie dostaniemy drugi dom, będziemy mogli wówczas wprowadzić do sprzedaży wiele nowych towarów. A w ogóle uważam, że w Polsce towarów nie brakuje, trzeba tylko umieć szukać.

— I pewnie dlatego „Central” ma w Polsce taką dobrą opinię. Ludzie przyjeżdżają do Łodzi specjalnie do „Centralu”, co — nie ukrywajmy — wywołuje niezadowolone tożdzian.

— Mnie zawsze cieszy, gdy ludzie kupują w „Centralu”. Tak powinno być. Martwią mnie tylko kolejki. Kolejki przed stoiskami jeszcze rozumiem, ale kolejki przed kasami to już nasza wina. Będziemy musieli ten problem rozwiązać. Ale to jest już nasz wewnętrzny problem, nie mający nic wspólnego z reformą, o której — głównie — mówiliśmy.

A podkreślę jeszcze raz. Reforma mogłaby dać znacznie więcej, gdyby i w przemyśle było więcej odwagi, z otwartą głową dyrektorów, a władze centralne zajmowały się strategią i zasadniczymi problemami, a nie szczegółowymi, które winny być rozwiązywane przez same przedsiębiorstwa. Szczególnie handel nie lubi skrepowania. Handel musi być elastyczny, bo tylko wtedy jest efektywny.

Rozmawiała:
BOGDA MADEJ

Konkurenci...



Foto: Mirosław Zajdler

W kwietniu br., w Kamerunie, w porcie Douala, miejscowa policja wyłowiła zwłoki mężczyzny. Ręce miał splecione kajdankami, a między nimi wiszącą gaśnicę pianową. Trupy w akwenach tego portu nie należą do rzadkości. Z ich identyfikacją są kłopoty. Tym razem jednak z ustaleniem tożsamości problem był mniejszy. Polskie napisy na gaśnicy wskazywały narodowość. Dość szybko odnaleziono statek. Okazał się nim m/s „Łódź”, należący do Polskich Linii Oceanicznych w Gdyni. Na wszczęty alarm stawili się wszyscy, z wyjątkiem jednej osoby. Owym brakującym był I Oficer.

Tamten rejs zakończył się pod koniec czerwca. M/s „Łódź” nie zawinął jednak do żadnego polskiego portu. Wymiana załogi nastąpiła w Hamburgu. Ten sam autokar, który wyruszył z Gdyni 22 czerwca, przywiózł jednych i zabrał drugich. Kontakt obu zmian był bardzo krótki. Wystarczył jednak, aby nerwowa atmosfera udzieliła się nowo mustrującym.

— Prawie nie rozmawialiśmy — powie Kapitan. — Nasze zetknięcie ograniczyło się w zasadzie do rutynowego przejęcia funkcji. Zresztą niezrozumiałe byłoby ich nagabywać. Wiedzieliśmy przecież, że jedzą prosto na śledztwo...

Jeden z oficerów z racji pełnionej funkcji poznał więcej szczegółów. Od swojego poprzednika dowiedział się, na przykład, że na kilka dni przed tajemniczą śmiercią I Oficera z mostka nawigacyjnego zniknęła gaśnica. Taką samą jak ta, którą później znaleziono przy tragicznym zdarzeniu.

Niewiele też o całym zajściu wiedzą pozostali członkowie załogi. Nawet koleżki, których znał wcześniej, przezwadnie milczeli. Zachowywali się przy tym jakos dziwnie. Przepierali odpowiedzi, że jeszcze do tej pory mają przed oczyma obraz Chiefa, którego musieli kilkakrotnie identyfikować.

Nową załogę służył armator kompletowały według nie stosowanego dotąd klucza. Na „podmianę” do Hamburga mogli pojechać tylko ci, co nie pływali jeszcze na liniach Zachodnioafrykańskich. Dlaczego? Otóż linie te znane są z tzw. biznesu. Uważa się, że przynajmniej niektórzy pływacy tu latami mają najróżniejsze i najdziwniejsze powiązania. Sądzone więc, że zastopowanie układów biznesowych poprawi atmosferę na jednostce i jej reputację w portach, do których zawinie. Czy rzeczywiście?

— Po dwóch dobach — mówi jeden z Oficerów — byliśmy w Antwerpi. Wybrałem się do miasta. Sam nie zamierzałem bowiem niczego kupować. Ale chodząc spotkałem dwóch członków załogi. Po krótkiej rozmowie zdecydowaliśmy się wstąpić do pobliskiego Domu Marynarza.

Siedząc przy piwie zauważyli kręcącego się między stolikami Murzyna. Wszędzie było go pełno. W końcu zatrzymał się przy nich. Zaproponował kupno kolorowych magazynów z naszymi Mulatkami.

— Oferował je za tak niską cenę — zapewnił Oficer — że od razu zorientowałem się, o co chodził. Chciał „chwycić” kontakt...

I udało mu się. Poprawnym angielskim wypytywał gdzie i na jakiej jednostce płyną. Gdy usłyszał nazwę „Łódź” i porty zachodnioafrykańskie, zapewnił, że zaraz przyprowadzi Polaka, specjalistę od grubych interesów. Miał moment i biznesmen już był.

— Wywiązała się długa rozmowa. Tamten wyraźnie coś chciał. Nie precyzował jednak, o co mu chodził. Mówił o swoich możliwościach, operatywności. Dowodem tego miał być, na przykład, fakt, że ostatnio jednemu z polskich marynarzy zalał na poczekaniu wyszukany model mercedesa. Ale nikt z naszej trójki nie wykazywał większego zainteresowania. Wstał więc i odszedł. Z całego tego chaosu dotarło do mnie tylko jedno: oferował swoje pośrednictwo w jakimś dużym przemyśle.

— Co mogło wchodzić w grę?

— Na pewno nie dywany...

— Dywany?

— Tak, kupił je niektórzy członkowie załogi w Hamburgu i Antwerpi. Ale do tego pośredników nie trzeba. Sprzedający sami przynoszą je na

statek.

— Skoro nie one, to może... biały proszek. Tyle się teraz o tym mówi.

— Pan, wydaje się pokpiwa. Ja płynąłem na tym statku i wcale nie było mi do śmiechu. Powiem jeszcze jedno. Kiedy następnego dnia wracałem z kolejnej wyprawy do miasta, na trapie mianem się ze schodzącym owym „biznesmenem”. U kogo był? Z kim rozmawiał i o czym? Nie dowiedziałem się. Tych odwiedzin nikt w dzienniku trapowym nie odnotował.

Spotkanie z Afryką nie należało do kojących. Najpierw była reda w Lagos. Kotwiczyliśmy na niej tylko w ciągu dnia.

ANDRZEJ A. SUPRYNOWICZ

Rejs w cieniu śmierci

Wraz ze zbliżającym się zmierzchem wciągano kotwicę i wypływno poza 30-milowy pas. Podobnie postępowali inne jednostki. Reda w Lagos ma bowiem fatalną sławę. Napaści i rabunki to niemal codzienny, a raczej conocony, pecha. Sprawcami są tubylcy. Mają szybkie motorówki i działają przez zaskoczenie. Steroryzowane automatycznie bronią załogi, praktycznie nie mają żadnych szans obrony.

Nie lepiej wyglądała sytuacja w samym porcie. Postój „Łodzi” przypadł bowiem na okres, kiedy w Nigerii trwała elekcja prezydenta, gubernatorów i senatorów. Walka wyborcza przebiegała bezpartynowo. Stosowano wszystkie, nawet najbardziej drastyczne, chwyt. Ulicami przeciągały watahy znarkotyzowanych, którzy bez powodu potrafili wdrapać nóg w brzuch przechodnia. Wzrostłe ludzkie szczątki, wśród nadpalonych starych opon, wcale nie należały do rzadkości. Dlatego też, aby zapewnić w miarę normalne funkcjonowanie portu, obsadzili

meni pojawienia się. To musiałoby denerwować, swiaszcza...

O tym, że na pokładzie jest kilkudziesięciu dywanów, Kapitan — oczywiście — wiedział. Kazał je nawet zmagazynować w kabine pasażerskiej nr 48. Dokładnej ich liczby jednak nie znał. Oehmistrz oświadczył mi bowiem, że nie posiada duplikatów deklaracji celnej załogi z poprzednich portów!

Dla Kapitana stało się jasne: coś się kroi. Co i kiedy, jeszcze nie wiedział. Rychło jednak miał się dowiedzieć.

— Po wyjściu z Lagos — napisze później w specjalnym raporcie — przyszedł Oehmistrz i pyta co dalej. Odpowiedziałem, że każdy z członków załogi skończył dwadzieścia lat i wie co go czeka w przypadku handlu. Jeżeli ktoś

chce, może swoje dywany zabrać. Nie mam zamiaru długiej przekonywać, czy grozić. Tuż przed wyjściem do portu Douala, w Kamerunie, Oehmistrz powiadomił Kapitana, że klucze do kabiny 48 wydał IV Mechanikowi, i że załoga zabrała swoje dywany. Kapitan natychmiast wezwał IV i III Mechanika. W krótkiej, ostrej rozmowie przestrzegli obu przed ewentualnymi konsekwencjami.

— Zdawałem sobie jednak sprawę — napisze później — że mam do czynienia ze zorganizowanym klanem mogącym w razie potrzeby sięgnąć do drastycznych rozwiązań. Po prostu obawiałem się innego, niż takie, postępowania.

Dwudziestego trzeciego sierpnia, około godziny dziesiątej, zakończyło się cumowanie. „Łódź” przy jednym z nabrzeży portu Douala. Po chwili zjawił się Agent. Mecno zaferowany, powiadomił Kapitana, że statek jest podejrzany. Sprawia to tajemnicza

to dziesięciu czarnych celników. Już w porę oświadczyli, że nakryli kontrabandę. Pray trapie — zapewnił — jest samochód załadowany czterdziestoma dywanami. Sprzedał je i wziął pieniądze wraz człowiekiem z brodą...

Zaczęło się poszukiwanie głównego sprawcy. Celnicy mieli zanotowane numery kabin, z których dokonywano transakcji. Przeszukano dwie z nich. Nic nie znaleziono. Kiedy pukano do kolejnej, należącej do III Mechanika, ten wyszedł właśnie z mesy. Celnicy rozpoznali go natychmiast. Postawili warunek. Jeżeli zwróci zainkasowane 400 tys. franków CFA — odstąpi od dalszych czynności urzędowych. Zwrócił. Celnicy okazali się jednak bardziej przebie-

gli. Mając pieniądze, pochodzące z transakcji, zażądali zapłaty kary. Obiecali przy tym, że jeżeli przyzna się, że dywany były tylko jego, zapłaci mniej. W przypadku przemytu zbiorowego, kara przekroczy 10 mln franków CFA. Robiło się coraz goręcej. Widząc, że sprawa przybiera niekorzystny obrót, Kapitan osobiście zaczynał pertraktować.

— Wspólnie z I Oficerem — napisze — użyłem wszystkich możliwych środków, aby odłulić sprawę. Wiącałem z próbą przekupienia celników.

Nie powiodło się. Wobec tego Kapitan wzywa IV Mechanika i każe mu zatać wszystkie dywany, bez względu na to, w którym zbiorniku są ukryte! Ten z koleją zapewnia, że właśnie to robił, i że za chwilę skończy.

Pertraktacje z celnikami zostają zawieszane do następnego dnia. Kapitan zbiera w mesie całą załogę. Informuje cezaszko, i żąda zaprzestania handlu. Następnego dnia odbywa się kolejne zebranie. Tym razem Kapitan wzywa winnych do zapłaty kary. Jednocze-

nie zajęcia armatora.

Po wyjściu z portu Douala Kapitan przeprowadza ostatnią już kontrolę statku. Poleca ponownie zdać i zadeklarować dywany. W trakcie przeszukiwania znaleziono jeszcze osiemnaście sztuk. Pięć nie zadeklarowanych w Douali jeden ze Stewardów wyrzuca do wody. Wydawało się, że w ten sposób „sprawa dywanowa” ostatecznie została zamknięta.

W Pointe Noire, w Kongo, m/s „Łódź” odwiedził pewien osobnik. Przedstawił się, że jest Polakiem z ważnym paszportem, ma jacht i zaprasza na safari. Z zaproszenia skorzystała Stewardesa i Elek-

tryk. Wrócił po dwóch dniach bardzo zadowolony.

Odtąd odwiedziły sympatyczne nieznanym były coraz częściej. Zastanawiało jednak, że nie wszystkim przedstawiał się tym samym nazwiskiem. Dalej proponował safary i... kupno kawy po niezwykle atrakcyjnej cenie. Po przeliczeniu wychodziło, że byłaby o połowę tańsza, niż na, bardzo już tanim, miejscowym bazarze.

— Kto bezinteresownie proponuje taki interes? — zastanawiano się na „Łodzi”. — O co tu chodzi?

— Któregoś dnia — mówi jeden z Oficerów — ów facet przyszedł do mnie i pyta, czy nie sprzedałbym mu gaśnicę pianowej. Kupiłby też koło ratunkowe i... może coś jeszcze. Wiedział, że byłby to niezbyt legalny interes, więc obiecał dobrze zapłacić. Zapraszał na jacht, który kotwiczył w awanporcie.

Do transakcji jednak nie doszło. Nie wiadomo, co zdecydowało. Wyjątkowa uczciwość czy też podejrzliwość Oficera. Nieznajomemu zapro-

szere północy. Czego szukano? Trudno jednoznacznie określić. Powszechnie jednak wiadomo, że specjalne brygady w portach zachodnioafrykańskich sąwiają się przede wszystkim tam, gdzie istnieje podejrzenie nieprzemytu narkotyków.

Skoro więc nie można z całą kowitą pewnością stwierdzić, czego szukali, zobaczymy co znaleźli.

— W czasie kontroli kabin i pomieszczeń statku — zanotuje Kapitan — ujawniono w maszynowni, w tunelu, nie zadeklarowane 9 dywanów, należących do III Mechanika oraz 3 dywany w kabine IV Mechanika. Pierwszemu z nich urządził celny, nałożył karę 3600 franków, a drugiemu — 600 franków. Oba podpisał protokoły i odmówił zapłacenia kary. Celnicy odstąpili od ukarania Starszego Mechanika, ponieważ cyfra podana na deklaracji celnej jest niepełna, 4 czy 1, polecając mu zabezpieczenie dywanów przed wyniesieniem, czyli zdać do Oehmistrza. Odpowiednie polecenia wydałem. Karę zapłacił Agent.

Oczywiście — dodajmy — gnów pieniądze armatora. I jeszcze jedno. Podczas odprawy wejściowej do Szczecina, 19 października br. brygada urzędu celnego ujawniła 23 kg kawy naturalnej, ukrytej w gaśnicy pianowej, przy mostku nawigacyjnym.

Był to ostatni rejs m/s „Łódź” pod banderą PLO. I ostatni — pod polską flagą. Armator sprzedał bowiem 26 października br. statek do Grecji. Odtąd na morzach i oceanach nie kołysze się dumny imiennik włókninistego miasta. Pechowa nazwa „Łódź” została wymazana z Polskiego Rejestru Statków.

Ale nie wymazane zostały SPRAWY związane z dwoma ostatnimi rejsami m/s „Łódź”. Sprawa zagadkowej śmierci, którą prowadził prokurator (dla dobra śledztwa nie wolno ujawniać żadnych szczegółów), a wokół której narasta coraz więcej plotek. I sprawa gigantycznego przemytu, która czarnym cieniem legła na dobrej opinii wszystkich polskich marynarzy.

Nazwa m/s „Łódź” nie niepokoi dziś żadnego urzędowego sumienia. Ale nadal unoszą się nad nią znaki zapytania. Czy to BYŁ tragiczny statek? A może JEST TO TRAGICZNA LINIA, ta linia Zachodnioafrykańska?

Ta linia nie cieszy się dobrą opinią kapitanów i oficerów. Każdy kto pływa, wie dobrze, że w ciągu ostatnich lat zginęło na niej w zagadkowy sposób kilku przynajmniej ludzi. Jak na ironię — najczęściej byli to „pierwsi po Bogu” albo członkowie ścisłego dowództwa. Te śmierci — pozornie odległe w czasie i przestrzeni — mają wspólną cechę. NIGDY NIE ZOSTAŁY WYJAŚNIONE DO KONCA. Odległość od kraju, czas który zacięra w pamięci towarzyszące im fakty, sprawiły, że trzeba było umorzyc każde śledztwo.

Ta linia nie cieszy się dobrą opinią wśród uczelniczych marynarzy. Bo jak wytłumaczyć to, że specjalnie dobrana załoga, która po raz pierwszy w życiu płynęła tą trasą, od razu bierze się za gigantyczny przemyt? I to — mimo cienia śmierci unoszącego się nad pokładem? I — mimo ostrzeżeń, że m/s „Łódź” wzięty został pod szczególną opiekę celników? Znam takich, którzy wyrzucają sobie z serca morze i osiadają na lądzie — bo nie chcą lub boją się pływać dłużej do Afryki Zachodniej.

Nie reporterska jest rzecz ferowanie wyroków i prowadzenie śledztwa. Są bowiem ludzie, którzy za to odpowiadają bezpośrednio.

Reporterską za to rzeczą jest powtórzyć głośno pytania, które unoszą się w powietrzu i ludzie szepczą sobie na ucho. Reporterską jest rzeczą zrekonstruować mozolnie zdarzenia, w oparciu o opowieści ludzi i fakty zapisane w dzienniku okrętowym oraz sprawozdaniu dowódcy jednostki dla armatora, by odtworzyć wykładni, jakie wydarzyły się w trakcie ostatniego rejsu m/s „Łódź”, nad którym unosi się cień śmierci.

Foto: Mirosław Zajdler



ly go liczne patrole wojska i policji.

W tej sytuacji Konsul PRL wstrzymał wizyty w porcie załóg naszych statków. Wprowadził też, jako obowiązek, trykrotne kontaktowanie się w ciągu dnia za pośrednictwem UKF-ki.

Czy, wobec takich trudności, można było myśleć o biznesie? Z pewnością — nie. Jeżeli już o czymś myślano, to raczej o wyjściu cało z Lagos.

śmierci I Oficera w poprzednim rejsie. W związku z tym, należy się spodziewać szczególnego nadzoru brygady policji i urzędu celnego.

Kapitan zwołał zebranie załogi. Stawili się wszyscy, czyli trzydziście jeden osób.

— Powtórzyłem to, co powiedział mi Agent — napisze w raporcie, — wtedy III Mechanik krzyknął, że niech nikt sobie nie myśli, że na statek zamustrowano dzieci, które będą grzesznie chodzić parami. Natomiast Starszy Mechanik zareagował słowami: niech PLO znajdzie innych głupków, którzy będą na tej linii pływać za darmo.

Mineło kilka dni. Dwudziestego siódmego sierpnia, o dwudziestej pierwszej trzydziestu, Kapitan usłyszał pukanie. Otworzył. Przed drzwiami sta-

nie dwóch reprezentantów załogi, Bosman i IV Mechanik, upowiadają go do dalszego negocjowania. Wysokość — ostrzegają — nie może jednak przekroczyć 1700 dol. USA. Upoważniono Kapitana również do pobrania salidzi do tej wysokości.

O godzinie jedenastej, dwudziestego ósmego sierpnia, rozpoczęła się następną turą rozmów z celnikami. Uczestniemy w niej Agent. Po dłuższych targach wynegocjowano karę w wysokości 700 tys. franków CFA, czyli równowartość 1750 dol. USA. Należąca Oehmistrz wzywa Kapitana listą zaliczek z siedemnastoma nazwiskami. Ten przekazuje pismo Agentowi. Agent jednak odmawia dostarczenia pokwitowania zaliczek, sam płaci karę w urzędzie celnym i informuje

ponowano okazanie paszportu. Więcej się nie pojawił.

Pointe Noire nie był ostatnim portem niespodzianek. Zanim „Łódź” wplynęła do Brestu, Francuzi skierowali ją do najmniej uczęszczanego zakątka reddy. Sprawiało to wrażenie, jakby specjalnie chcieli się jej przyjrzyć i sprawdzić, czy nie okaże zdenerwowania lub niespodziewanej ruchliwości.

Po dwóch dniach jednostkę wpuszczono do portu. O jedenastej trzydziestej skończono cumowanie i, na pokład weszli pierwsi dokerzy. Nie wiedziało jeszcze, że wśród nich było dwóch, przebranych w kombinizony, celników ze specjalnej brygady. Ujawnili się do-

Wirydarz poetycki

Feliks Rajczak

Dialog o pięknie

O tej lekkości a wiedzy pogodnej
O tej pewności a znikomym pięknie
Jest obiek biały pod błękitną wodą
W której się niebo ułożyło do snu
— i Ty śpisz Mario
— wiatr wstał niesie włosy
— słońce się
— ptaki ciągną drzewa
ku wschodowi na stos
tęczy —
— co się tu dzieje Tobie
— burza na jeziorze
— ty wstępujący
na dno i na obłoki
na obłądnym niebie

☆☆☆

Oto pogodny schyłek listopada śad
adwidamy liście u korzeni
drzew spoczywają. Podnosimy oczy
w konary aby późny owoc
objawiony upadłym liściem dojrzał —
To jest pragnienie które przeniesiemy
przez śniegi słońcy i wiosny kwiecie
Nienasyceni z Jesienią
śad opuszczamy furkają
skrypiącą jak liść ostad

Piosenka z Poddebickiej Dąbrowy

Ziemowitowi Skibińskiemu
Młody i mądry
Książę dolin
Pokochał rzeki
Siwe wrony
Pod dębem stanął

Nagłał gaję
Ze szw w korzeniach
Zaspiewało

Anna Jakub

Modlitwa Papuszy

wieść mnie Panie
w spokój
w ciszę
gdzie ani pośpiech
ani czas
wiedź mnie Panie
w spokój
gdzie tylko ja
luczywa
i las

☆☆☆

nie pojmując granicy
między królem
a posłem
pochyliam się
nad polami —
z chaosu
znu ostatniego
składam
suchwałe nadzieje

☆☆☆

malerkie ciepłe i miękkie
leżysz uśpięta
w dalekim spełnieniu
karmię się pustą pierłą
i w niepoczucie jezozo
wpalam miłowaniem Słowa
wykreślowana wyobraźnia
jak
pies postawny
aportuje

Kazimierz Świątko

Gdziekolwiek

Gdziekolwiek pójdę
pójdiesz ze mną
Obłotyłem śniegiem moje oczy,
aś góry z hukem się odemkną
i w sny się moje wtoczą.

To będzie czas od zdarzeń cieżki,
co eksplodują w krwi osierwieniu.
Nie poznasz w kurzu brata kieżki,
bo braś się obraca z ziemią.

W tę praczadliwą jaszędź bogów
nie patrz, nie się nie smieł.
Z ogrodów Grecji wieje trwoga
w północne nasze ziemie.

Włoc słońcem zakryj horyzontem
okno i cienie rąk wbił w ścianę.
Nlech sapałają się gwiazd louty
i śnieg w nas wielki wstanie.

Słoneczniki

Jest w słonecznikach wielka miłość słońca
lecz klonięty głowy słońcem, miłość
te tylko las je tak obraca wokół
wieczną tożsamość odmierzaając słońcem

Nadzieja

Gdy czas nadziei, ludzie stają zbrota,
rdy czas nadziei, miłość kwitnie w sadach,
zbiorcy obfite są ziota i chleba.
Gdy czas nadziei, ludzie stają w grzędach,
potem starannie pamięć odmierzaują,
nadzieję a chwastów oczyszczają piętami.

Pośród wielu honorów i zaszczytów, którym wyróżnia się artystów, literacka Nagroda Nobla wydaje się mieć w powszechnym odczuciu rangę najwyższą. Nagradzanie twórców ma odległą tradycję sięgającą początków sztuki. Świadczy o uznaniu i akceptacji. Ale jest także wyrazem preferencji i wyboru, formą nagrody, tak ideologicznej jak i estetycznej, na sztukę, instrumentem podporządkowywania wartości dzieł określonym potrzebom. Sponsor nagrody — i nieważne jest, czy to będzie władca-mecenas, przedstawiciela grupa społeczna czy akademia — kieruje się intencjami partykularnymi, zawsze subiektywnymi. Nie trzeba dodawać, że intencje te motywowane być mogą zarówno doradczymi celami politycznymi, jak i przekonaniem o „ponadczasowych” walorach artystycznych nagradzanych dzieł.

Ponadto nagroda — bez względu na charakter — jest formą zewnętrznej interwencji w obręb świata zjawisk artystycznych, które choć determinowane całym zespołem oddziaływań spoza sztuki, kształtują się także samodzielnie i niezależnie pod wpływem swoich wewnętrznych swolucji. Można więc rzec, że taka właśnie sytuacja sztuki buduje dwa sakresy wartości i ocen, rzadko równoległe, często epokowe i pełne sprzeczności: pierwszy, uformowany przez zewnętrzne procesy społeczno-polityczne, przez to, co nazywa się zapotrzebowaniem społecznym, a co niejednokrotnie wyrasta z przekonania o użytecznych i pragmatycznych funkcjach sztuki oraz drugi, modelowany wewnętrznymi przemianami w sztuce. Stąd — jakże liczne w historii sztuki — fakty odrzucenia dzieła, zanegowania jego treści przez współczesnych autorów, który znajduje zrozumienie i aprobatę dopiero u potomnych. Każde stulecie, ba, każda dekada ustala swój własny kodeks ocen, upodobań i gustów. Sztuka niekiedy musi się im poddawać. Tak więc jakkolwiek nagroda, wawrzyń czy order, niezależnie od intencji ofiarodawców, musi być kompromisem. Inną sprawą jest już sens tego kompromisu, jego granice i skutki.

Prezyst literackiej Nagrody Nobla wynika głównie z jej zasięgu: do konkursu, rok w rok, staje — przynajmniej teoretycznie — cała literatura światowa. Prezyst ów tworzy także legenda szlachetnych intencji fundatora oraz regulaminowe założenia wstępnej kwalifikacji kandydatów do wyróżnienia. Dokonują jej najbardziej wpływowe i cieszące się społeczną autorytetem gremia artystyczno-naukowe: akademie, związki twórcze oraz uznanie uczeń i artysty. Nie bez znaczenia są tu również wysoki profity materialne płynące z nagrody i jej merkantylno-wydatniczych skutków. Mówiąc po prostu: sława i pieniądze.

Jak wiadomo, Alfred Bernhard Nobel sibi ogromny majątek na śmiercionośnych wynalazkach. W momencie gdy przyszedł na świat 21 października 1833 roku w Sztokholmie, sytuacja jego rodziny była co najmniej niepewna. Ojciec Immanuel w poszukiwaniu lepszych możliwości przeniósł się do Rosji, dokąd — stanowiący na nogi — ściągnął całą rodzinę. Tam też mały Alfred uspełniał swoją edukację. Ojca już stał było na domowych korepetytorów. Alfred pobierał więc lekcje chemii u dożyde znanego w Rosji profesora Nikołaja Zinina. Historii uczył go — jak pisał biografowie — szwedzki erudyta Lars Santesson. Mając 16 lat Alfred podjął staż w fabryce oja, potem podróżował po Stanach Zjednoczonych i Europie. Wojna krymska była prawdziwym dobrodziejstwem dla fabryki „Nobel Ojciec i Synowie”, produkującej materiał wojkowy dla carskiej armii. Alfred zdobywał w niej doświadczenie i jako menadżer, i jako chemik-wynalazca. Praca nad nowymi materiałami wybuchowymi, najpierw pod kierunkiem oja, potem samodzielnie, miała wkrótce przynieść nadszpejwane i spektakularne sukcesy. Towarzyszyły im jednak rodzinne tragedie. W roku 1864 — już w Szwecji — wylatuje w powietrze fabryczka Alfreda, a w wypadku, póżród wielu innych ofiar, ginie 22-letni brat Emil. Ojciec na wieść o tym ulega atakowi apopleksji, która doprowadziła go po kilku latach do śmierci. Mimo to Alfred prowadził prace dalej i w roku 1867 odkrywa dynamit.

Nie jest moim zamiarem pisanie biografii, ani rejestru dotychczas wynalazków i sposobów dochodzenia do majątku. Do roku 1896, daty śmierci, Alfred Nobel, nazywany plutokrata, rekinem, handlarzem śmierci, skupił w swojej ręku większość akcyj szód reponujących w Baku, kontrolował około stu fabryk i manufaktur wytwarzających materiały wybuchowe na całym świecie, posiadał liczne rezydencje, zamki, tajnie wyścigowe, udzielał w kopalniach złota etc. Jednocześnie kęzi biografowi w — najczęściej dytyrambicznym — tekstach pisa o jego filantropii, umiłowaniu sztuki, o humanistycznych zainteresowaniach, o idealizmie, o jego szlachetności i dobroci.

Tak czy inaczej, testament, który Alfred Nobel pozostawił, można uznać za swolista formę ekspiacji, okupienia win, zadoczeksznienia. Procenty z pozostawionych kapitałów miały być rokrocznie dzielone na pięć części i przyznawane w formie nagrody za najbardziej znaczące odkrycia i wynalazki w dziedzinie fizyki, chemii, fizjologii i medycyny oraz za „najbardziej znaczące dzieło o tendencjach idealistycznych w dziedzinie lite-

atury”. Piąta część miała być przeznaczona dla osoby, która wyróżnia się w danym roku, w sposób wybitny, w działalności na rzecz braterstwa między narodami, zmieszenia lub ograniczenia zagrożeń militarnych, w działalności na rzecz swiązków i organizacji pokojowych.

Testament ów wywołał w swoim czasie ogromną lawinę napaści, sporów i inwektyw. Pisano o „kosmopolitycznej aberracji”, o braku patriotyzmu, o „monumentalnej gaffe”, a nagrodę pokojową uznano za „najgłupszą z nagród”. „Jedynym sposobem zapewnienia pokoju — argumentował szef szwedzkiej socjaldemokratów Hjalmar Branting — jest ustalenie wiążącej roli ekonomicznej i politycznej dla proletariatu wszystkich krajów, który w sposób jednoczyny odrzuci uczestnictwo w wojennym ludobójstwie”. Na marginesie: Hjalmar Branting otrzymał „nagrodę pokojową” Nobla w roku 1921.

Mimo tych rozliczeń i nie przeliterających w słowach ataków ostatnia wola Alfreda Nobla została spełniona i oto w roku 1901 przyznano pierwsze nagrody. W dziedzinie literatury dostał ją poeta francuski Sully-Prudhomme (1859-1907) wygrał konkurencję m.in. z Emilem Zolą. Fakt ten rozpoczął — ciągnąc się po dziś dzień — falę dyskusji wokół nagrody, wokół zasad jej przyznawania i niejasnych preferencji Akademii Szwedzkiej. Sully-Prudhomme, któremu dziś podręczniki historii

Blaski i nędze literackiej Nagrody Nobla

poświęcają po kilka zdań, dają początek galerii laureatów, których utwory mogą interesować co najwyżej grono ściśle wyspecjalizowanych filologów. Przymiemy tu sformułowanie z testamentu Nobla: nagrodę literacką będzie przyznawał się temu, który „stworzył najbardziej znaczące dzieło o tendencjach idealistycznych”. Nie otrzymał wówczas tej nagrody Zola, ponieważ uznawano go za „przedstawiciela najbardziej prowokacyjnego materializmu”, a także i dlatego, iż pamiętano, że sam Nobel nie cierpiał tego rodzaju literatury. Od samego początku istnienia fundacji, pamiętając o okreśieniu „tendencja idealistyczne”, opinia publiczna oczekiwała nagrody dla Lwa Tołstoja. Stawiano jego kandydaturę każdego roku (aż do 1910, do daty śmierci) i każdego roku przeciwstawiał jej się akademik Wirsen, wygłaszając przy okazji taką oto opinię: „Biorąc pod uwagę nieśmiertelne dzieło, jakim jest „Wojna i pokój”, należałoby nagrodzić Lwa Tołstoja. Jest to jednak trudne z powodu innych utworów tego rosyjskiego pisarza, które wywołują nasbył wiele sensacji. Tołstoj skazuje na zagładę wszystkie formy cywilizacji i idealizuje egzystencję prymitywną. Odbiera rządzą prerogatywy w stosowaniu rygorów prawnych wobec kryminalistów i pochwała anarchię. Chciałby w sposób arbitralny stworzyć jakiś swolisty Nowy Testament w duchu na polityczno-racjonalistycznym, na politycznym”. Z perspektywy późniejszych decyzji musi zaskakiwać tamta lojalność wobec rządów i obowiązujących praw. Takie postawy zachowawcze i konserwatywne znajdują swoje potwierdzenie w dalszych działaniach noblowskiego komitetu szwedzkiej Akademii.

W roku 1902 nagrodę otrzymuje Theodor Mommsen, niemiecki profesor prawa rzymskiego i historyk, autor „Historii Rzymu”, co było precedensem w zakresie rozumienia słowa „literatura”. Zresztą statut, a w zasadzie jego interpretacja, w której dopuszczoną taką możliwość (literatura piękna, ale także inne dzieła o wartościach literackich) przechodziła pewne ewolucje. „Tendencja idealistyczne” jako argument pierwszy przestał — jak się zdaje — obowiązywać, choć trzeba przyznać, że jest to typowa formuła-worek, w której — w zależności od potrzeby — można pomieścić wszystko. I piśmiennictwo Winston Churchilla (nagrada w roku 1953), i ironiczny racjonalizm Anatola France’a (1921), i twórczość Samuela Becketta (1969), i działalność dytydambo-polityczną Aleksandra Solżenicyna (1970), i filozofię Henri Bergsona (1927).

Aby nie być pośrodkiem o demagogię wróć do jednego nazwiska. Aleksander Solżenicyn w momencie przyznania mu nagrody był autorem kilku opowiadań, z których jedno — po 700

tyśiącym nakładzie w rosyjskiej „Roman-gazecie” — było tłumaczone na wiele języków, oraz powieści „Rakowy korpus”, pośpiesznie wydanej w nie najlepszych przekładach na Zachodzie. Ktory z pisarzy, przedtem i potem, został tak nagle zaważony przez jurorów Nobla? Zwiastuje, iż niepisana dotąd zasada było honorowanie autorów nobliwych wiekiem i literackimi zasługami. Zresztą wielu z nich, pozostając na listach kandydatów przez lata całej nigdy nagrody się nie doczekało. Ras akademicy złamali regulamin i przyznali nagrodę już po śmierci: otrzymał ją Erik Karlfeldt (1931), szwedzki poeta i sekretarz Akademii.

Obroncy prezystu tej nagrody najczęściej manipulują listą jej dotychczasowych laureatów i mówią, oto oni: Kipling, Maeterlinck, Hauptmann, Hamsun, France, Yeats, Shaw, Mann, Pirandello, O’Neill, Gide, Elliot, Faulkner, Hemingway, Camus, Steinbeck, Szolochow. Bezspornie są to nazwiska w literaturze XX wieku ważne. Jednak i ten argument jest dwuznaczny: wynika ząd bowiem to, iż dziesiątki innych laureatów na tej liście najwartościowszych osiągnięć artystycznych się nie mieści. Poza tym owej liście można przeciwstawić indeks nazwisk pominiętych przez Komitet Nobla: Gorki, London, Conrad, Zola, Tolstoj, Proust, Blok, Hašek, Joyce, Babel, Dos Passos, Huxley, Brecht, Malraux, Achmatowa, Borges, Frisch, Baldwin, Cortazar, Jewtuszenko, Grass, żeby ograniczyć się do tych, którzy przychodzą na myśl w pierwszej chwili.

Nie zauważany przez lata całe Borys Pasternak, jeden z najwybitniejszych poetów naszego stulecia, staje się laureatem w momencie opublikowania w Szwajcarii powieści „Doktor Żiwago”. Pomijana przez półwiecze literatura polska zostaje oto uhonorowana w roku 1980, w chwili gdy nasz kraj ze względu na posępne wydarzenia przyciąga uwagę całego świata. Nagrodę otrzymuje Czesław Miłosz, poeta za granicą prawie nie znany, a w Polsce (to już z innych, pozarządowych, powodów) znany wąskim gronem specjalistów. Zart, choć wiele znaczący, Jerzego Andrzejewskiego na wiadomość o tej decyzji, był w tym przypadku nader symptomatyczny.

Tutaj można by rzec tak: przyznanie Nagrody Nobla jest nie tylko finalnym uznaniem określonych wartości ideowych i artystycznych, wartości powszechnie już zaakceptowanych w literaturze światowej, intencją Komitetu Nobla — powie więc niejeden — może być swolucja na wartość, które — niedostatecznie znane — zasługują na upowszechnienie, bo przecież — o czym już mówiliśmy — literacka Nagroda Nobla wywołuje spore zainteresowanie twórczością laureata: pojawiają się przekłady, kolejne edycje i wnowienia. Co innego już, czy owo zainteresowanie ma charakter krótkotrwałej sensacji, czy też na stałe wpisuje nagrodzone utwory do dorobku kultury światowej. Niechaj czytelnik tego tekstu sam spróbuje rozstrząść co mówią mu nazwiska B. Björnsona, J. Echegaraya, P. von Heyse, K. Gjellerup, C. Spittellera, J. S. Agnonsa itd. Chciałoby się tu zadać całkiem niepatryotyczne pytanie: w jakim języku ukazują się obecnie zwolnienia powieści Reymonta i Sienkiewicza (nie licząc adaptacji dla młodzieży „nieśmiertelnego „Quo vadis”). Tak, owszem — nazwiska są znane. Przypomina mi się spotkanie z Johnem Steinbeckiem, który w aureoli laureata pojawił się był w swoim czasie w Łódzkim Domu Kultury. Zapytano go wówczas — jakżeby inaczej — jakie zna dzieła z literatury polskiej. Myślał autor „Grón gniewu” przez dłuższą chwilę, a potem rzekł — co w przekładzie tłumacza z ambasady USA brzmiało mniej więcej tak: „Mister Steinbeck czytał Chłopi Reymonta i był bardzo ruszony”. Aktualny laureat powinien znać nazwiska swoich poprzedników!

Aktualny laureat? Otóż to. W artykule na jego temat „Time” pyta: „Wymień trzech autorów godnych Nagrody Nobla, których nazwiska zaczyna się na literę G”. I odpowiada: „Nadine Gordimer, Günther Grass, Graham Green”. Decyzja przyznania Nobla 1983 Williamowi Goldingowi — dodaje „Time” — wprowadziła w osupienie prawie wszystkich. Fakt. Przekonanie pisarza, jakie wyraża w swoich powieściach, że rasa ludzka jest immanentnie zła, zupełnie nie przystaje do „idealistycznych tendencji”, które miały według testatora przyświecać nagrodzie.

Rejestr tytułowych blasków i nędz literackiej Nagrody Nobla można byłoby ciągnąć jeszcze przez kilkanaście akapitów, tylko po co. Czy nie miał racji pewien skandyński profesor, zblizony do kół szwedzkiego Komitetu, gdy na pretensję o pomijanie pisarzy polskich (było to przed rokiem 1980) odpowiedział: „Czemu wy, Polacy — jak nikt na świecie, przywiązujecie takie znaczenie do tej nagrody? Nagroda jak nagroda i s faktu jej przyznania wynika niewiele, a czasem nic”.

Czy nie myślał tak samo Jean Paul Sartre, który demonstrował, w roku 1964, nagrodę odrzucił?

GRZEGORZ GAZDA

Z polki recenzenta

WALKA O WODE

W cyklu „Biblioteka Jugosłowiańska” ukazała się powieść Jovana Strezovskiego „Woda”. Jest to opowieść o walce dwóch wsi o wodę, walce prowadzonej od niepamiętnych czasów, w której zaangażowani byli nie tylko mieszkańcy wiosek, lecz i kolejne władze — turcy, serbowie, bułgarzy, wioślarze, partyzanci aż do wyzwolenia, kiedy to nowy rząd ostatecznie rozstrzygnął spór: w miejscu skłóconych wiosek powstał ogromny zalew. Ale zaletą książki jest jeszcze coś innego, niż tylko sama tematyka: to specyficzny jej humor, znakomite opisy wydarzeń, celne charakterystyki ludzi. Nie darmo autor „Wody” otrzymał za swą powieść jedną z najwyższych nagród literackich Jugosławii.

Przekład z macedońskiego Ewy Świążewskiej.
Jovan Strezovski: Woda. Wyd. Łódzkie 1983. Str. 124. Cena 40 zł.

ZYCIORYS MARSZAŁKA

Wojskowy Instytut Historyczny opublikował biografię marszałka Polski Michała Żymierskiego, żołnierza dwóch epok, znakomitego dowódcy i wychowawcy wielu pokoleń żołnierskich, działacza politycznego i męża stanu, człowieka — legendy, niespożytego uczestnika wszystkich wydarzeń związanych ze współczesną historią Polski.

Nie sądzę, by tę książkę należało specjalnie reklamować lub zachęcać do jej przeczytania. We wstępie Wojciech Jaruzelski napisał: „Każdy naród posiada swoją tożsamość. Jest ona powiadczona w sposób szczególny przez najważniejszych jego synów, ludzi takich, jak On — niestrudzonych w służbie krajowi, dla których pomyślność Ojczyzny jest najwyższym prawem i powinnością”.

Marszałek Polski Michał Żymierski. KIW 1983. Str. 270. Cena 180 zł.

OPOWIADANIA ARABSKIE

Literatura krajów arabskich ciągle jawi się nam jako terra incognita. Przyszłoda był nie tylko język, ale także fakt, iż Arabowie jakiegoś nie umieli czy nie potrafili uprawiać krótkich form prozatorskich i pisać językiem zbliżonym do potocznego. Ich twórczość pozostawała w kręgu dawnych kanonów pisarskich — tj. poezji i niezwykle rozległych opowieści-zreż.

Przełom nastąpił po ostatniej wojnie. Literatura arabska zaczęła żywiej włączyć się w nurt literatury światowej, choć nadal tkwi korzeniami w wielowiekowych tradycjach. Prezentowany przez nas zbiór zawiera 39 opowiadań 31 autorów z 12 krajów i stanowi interesującą wycieczkę, ciągle przecież egzotycznej, twórczości.

Współczesne opowiadania arabskie. LSW 1983 r. Str. 384. Cena 200 zł.

KRAKÓW W FOTOGRAFII

Wydawnictwo Literackie wydało niemal bibliofilską pozycję zatytułowaną „Kraków, cztery pory roku w fotografii Henryka Hermanowicza”. Książka przeznaczona przede wszystkim dla turystów, o czym świadczą teksty zaprezentowane aż w czterech językach, a dotyczące informacji o zabytkach dawnej siedziby Piastów i Jagiellonów. Jednocześnie, jak to często bywa, wydano książkę zaledwie w 30 tys. egz., co z góry przekreśla możliwość jej nabywania przez obcokrajowców, choć w założeniu temu celowi przecież ma służyć.

Kraków w fotografii Henryka Hermanowicza. Wyd. Lit. 1982 r. Str. 174. Cena 152 zł.

POEZJA ŻYDOWSKA

Otrzymałmy niezwykle ciekawą i znaczącą książkę. Jest to „Antologia poezji żydowskiej” obejmująca twórczość poetów żyjących w XIX i XX w. Twierdzi się, że kolebka nowoczesnej poezji żydowskiej była Polska, bowiem tu żyli i tworzyli najlepsi i najoryginalniejsi jej przedstawiciele. Wertując pokąsy tom bez trudu znajdujemy potwierdzenie tego faktu. Zyciorysy poetów, z nielicznymi wyjątkami, są związane z Polską, często z jej tragicznym okupacyjnym losem.

W antologii znalazło się 103 poetów w przekładzie 59 poetów polskich. Wyboru dokonał, nieżyjący już, Salomon Łastik, zamieszczając o każdym z poetów noty biograficzne.

Antologia poezji żydowskiej PIW 1983. Str. 554. Cena 250 zł.

LISTY DO RAKOWSKIEGO

Jest to książka i ciekawa, i przynosząca pewne nauki. Listy do wicepremiera pochodzą zaledwie z dwóch miesięcy: listopada i grudnia 1982 r., a więc z okresu trwania stanu wojennego. Co za lekture! Niektórzy respondenci swoje wypowiedzi utrzymują w tonie oficjalnym, inni nie potrafili opanować emocji. Jeszcze inni zapowiadają rychłą krucjatę przeciwko reżimowi i takim ludziom jak adresat. Jednocześnie zawarte wypowiedzi skłaniają do zadumy i refleksji nad naszymi wadami narodowymi, nad częstym brakiem myślenia politycznego, nad faktem, że emocje biorą górę nad rozsądkiem. Pocięciem wszakże jest to, iż wielu piszących do wicepremiera trzeźwo ocenia sytuację polityczną, a na jej tle sytuację naszego kraju.

Listy do M. F. Rakowskiego. Czyt. 1983 r. Str. 308. Cena 110 zł.

Jako krytyk literacki Maciej Chrzanowski zadebiutował na łamach „Studenta”. Warto pamiętać o tej okoliczności, bo jakkolwiek pisuje on o różnych fenomenach literackich, to przecież w najbardziej emocjonalny, wręcz bezpośredni sposób śledzi dokonania swoich rówieśników — dzisiejszych trzydziestolatków. Wynika to poniekąd z faktu, iż autor „Progu możliwości” ogląda siebie i swych rówieśników poprzez kategorię pokolenia literackiego i widzi się w roli krytyka towarzyszącego.

Z książki Chrzanowskiego wynika, iż wspomniane pokolenie przejmując, bądź też w niedalekiej przyszłości przejmując, sztafetową pałeczkę w długim ciągu literackich pokoleń. Wynika także konstatacja niepokojąca, że zanim to nastąpi, wielu młodych adeptów pióra utraci wiarę w sens słowa oraz w sens literatury i nie pokona progów i barier, ograniczających wstęp do królestwa literatów.

TADEUSZ BŁĄŻEJEWSKI

Progi i bariery albo dezercja krytyków

O odrębności pokolenia literackiego decydują wiersze, opowiadania, powieści i towarzysząca im publicystyka, a nie wyróżnik formalny w postaci daty urodzenia. I właśnie Maciej Chrzanowski jako krytyk usiłujący współkreatować nową generację pisarzy tropi pokoleniową samoświadomość w dorobku artystycznym trzydziestolatków. Jako ostrożny wszakże tropiciel z nieufnością rozpoznaje dostępne mu ślady i z daleka posunięty sceptycyzmem stwierdza wyrywkowo przedstawianego świata, niedojrzałość i prawie wcale nie maskowane sentymentalizm młodych ludzi zamiast podobnie rozumianej pokoleniowej wspólnoty literatury. W miejsce klarownej jakiejś pokoleniowej akcji (wzorem choćby podpatrzonym u poprzedników z kręgu „Współczesności”) stwierdza samotne boje o jakikolwiek literackie zaistnienie, w miejsce dalekosiężnej generacyjnej strategii dostrzega mocno rozwinięte poczucie zadbania o własne, indywidualne interesy. Nie jest to wszakże utyskiwanie. Raczej nawoływanie do odejścia od indywidualizmu, wezwanie ku wspólności.

Zarówno w dziedzinie poezji (szkic pt.: „Gra z literaturą”), jak i w obszarze młodej prozy (esej pt.: „Gra z rzeczywistością”), interesują Chrzanowskiego tylko niektóre nazwiska i tytuły. Stąd obraz młodej literatury kreślony przezeń jest fragmentaryczny, lecz na tyle symptomatyczny, by poświęcić mu trochę uwagi. Autor „Progu możliwości” stara się być surowym sędzią swoich rówieśników, choć wie o tym dobrze, że zarzuty stawiane młodej prozie z powodzeniem objąć mogą nierównie większy obszar powojennej literatury polskiej. Chodzi między innymi o to, że proza owa doradnie jest odzworowana rzeczywistość, że „nie podejmuje z nią dialogu, że nie stawia ważnych pytań, nie pokazuje złożoności etosu życia młodych Polaków, nie stara się zbudować możliwe uniwersalnych schematów konstrukcji ludzkiego losu; że jest to literatura pisana z punktu widzenia „kibica” naszej rzeczywistości” etc. W młodej prozie dostrzega jednak chlubne wyjątki: Marka Sołtysika, Andrzeja Pastuszka, Sergiusza Sterne-Wachowiaka.

Zatrzymajmy się przy Sołtysiku. Twórczość jego zasługuje na wnikliwą uwagę, ponieważ — nie przestając być ważnym głosem pokolenia — usiłuje wyjść poza wszelkie schematy i ograniczenia. Waleorem zasadniczym tego pisarstwa okazuje się stała skłonność do uniwersalizowania człowieczej kondycji, bez względu na realia, wśród których przyszło żyć. Prawda szczegółu urasta często u Sołtysika do rangi prawdy wszechobowiązującej. Studium przedmiotu więcej niżej wagi niżli wnikliwe analizy psy-

chologiczne, jakkolwiek i od nich autor „Fantów” nie stroni. O ile pierwsze jego utwory były w jakiejś mierze tytulami słów — o tyle od „Ulcei Maski” chyba poczynając słowami trzymane są na uwadze, coraz skuteczniej, jakby służyły ukradkowemu spływaniu chwili i myśli, z których to okrucichów powstaje potem eod w rodzaju prawdy probierze. Sołtysik — najdalszy od jakiegokolwiek odzworowania rzeczywistości — pokazuje ją zwykle w sposób udziwniony, nieszablony. Rzeczywistość owa za każdym razem ma kształt swoistego mołocha zadającego gwałt bezbronnemu człowiekowi — niekoniecznie młodemu, niekoniecznie przekraczającemu próg dojrzałości. Bohater Sołtysika nie potrafi uporać się z rzeczywistością, przerasta go ona, odurza, niszczy. W pewnym momencie doznaje on dojmującego uczucia rezygnacji, pragnie ocalić odruchy najprostsze — odrzućciwszy deformację i maski sytuacji powrócić do „języka

Jej przeciwieństwem okazuje się terror ekspertów, lecz nie od literatury jako całości, ekspertów wyspecjalizowanych w metodach mówienia („wiele polskich języków”), przeszczepiających na niewdzięczny polski grunt europejskie i światowe nowinki.

Gorzej, że oba te bieguny krytycznoliterackiego sposobu bycia nie są zainteresowane cełowym przekształceniem istniejącej sytuacji literackiej. Praktyczna krytyka literacka powinna bowiem dotyczyć spraw aktualnych, żywych (również w tradycji), takich, które byłyby w stanie zainteresować szeroki w miarę ogół. Właśnie aktualność sprawia, że prawdziwa krytyka nosi na sobie piętno czasu i wraz z nim przemija. Bowiem w odróżnieniu od dzieła literackiego tym lepiej spełnia swe zadania, im bardziej z epoką jest związana, im bardziej jest konkretna i jednoznaczna. Warunkiem podstawowym jest więc okoliczność, by umiała korzystać z charakterystycznych dla danej epoki

Wojna i dyplomacja

Wojnę opisywano już w różny sposób. Pokazywano ją widzianą oczyma bohaterów, dzieł, dezertarów, pokazywano ją od strony zwycięzców i pokonanych. Sawa Dangułow podjął się pokazania wojny od mało znanej strony — od strony dyplomacji. Taki właśnie punkt widzenia prezentuje jego książka „Kuzniecki Most”.

Mam poważną претензію do Wydawnictwa Łódzkiego, którego nakładem ukazał się „Kuzniecki Most”, że to, że nie poprzedziło książki ani wstępu, ani też nie pomyślało o nocie informacyjnej o autorze. Sawa Dangułow nie jest szerzej znany polskiemu czytelnikowi.

Jest jeszcze i drugi powód, dla którego taki wstęp, jak i nota byłyby potrzebne. Otóż „Kuzniecki Most” jest książką mocno osadzoną w nurcie literatury rosyjskiej. Oczywiście o treści można się szybko dowiedzieć, że na Kuznieckim Moście, jest siedziba radzieckiego MSZ, ale w treści książki jest wiele innych odniesień do literatury rosyjskiej, traktującej o walce Rosji z Napoleonem, a te wymagałyby komentarza i wyjaśnień. Takie przynajmniej odniosłem wrażenie.

Akcja „Kuznieckiego Mostu” rozgrywa się jakby na trzech płaszczyznach: dyplomatycznych misji i rozmów na najwyższych i średnich szczeblach, w środowisku korespondentów zagranicznych akredytowanych w ZSRR i normalnym wojennym życiu Związku Radzieckiego, a więc zarówno w rejonach przyfrontowych, na froncie, jak i na zapleczu.

W powieści występują postacie fikcyjne: rodzina Bardinów aż w trzech pokoleniach, Nikołaj Tambijew — młody dyplomata, Andriej Groszew — jego szef w radzieckim MSZ, rodzina Głagolewów w dwu pokoleniach, a także postacie historyczne z Józefem Stalinem, Władysławem Mołotowem, Winstonem Churchilllem i Franklinem D. Rooseveltem na czele. Przedstawione są literackie wersje autentycznie odbywających się w tamtym czasie rozmów i spotkań. Ale czytelnik nie ma do końca pewności, czy to są tylko literackie wersje tych autentycznych wydarzeń, czy też autor wywodzący się z kręgu radzieckiej dyplomacji nie ubrał swoich wspomnień w literacki kostium.

„Kuzniecki Most” jest jednak czymś więcej niż literacką przeróbką wspomnień. Akcja powieści dzieje się od momentu podpisania paktu Mołotow — Ribbentrop do momentu zwycięstwa pod Stalingradem. Jest tu walka radzieckiej dyplomacji nie tylko o poparcie sił postępowych na świecie dla ciężko zmagającej się z najeźdźcą Rosji, ale również walka o otwarcie w Europie drugiego frontu. Walka — jak wiemy — bezskuteczna, bowiem Anglia nie była w stanie tego frontu otworzyć i nie bardzo leżało to w jej interesach. Mamy więc w powieści dziennikarskie kalkulacje na temat Rosji z 1812 roku i Rosji z 1941 i 1942 roku — a więc czasu najtrudniejszego dla narodów Związku Radzieckiego. Sawa Dangułow pokazuje wojnę widzianą od strony pracy korespondentów zagranicznych i dyplomatów, wiążąc to z życiem walczącego kraju i sytuacją na froncie. Akcja „Kuznieckiego Mostu” jest też głęboko osadzona w historii Rosji. To właśnie rozważania Joana Bardina, jego dyskusje z synem Jegorem stanowią ten łącznik między przeszłością Rosji a wojenną teraźniejszością Związku Radzieckiego.

Powieść jest niewątpliwie ciekawa i powinna zainteresować przede wszystkim ludzi zajmujących się dziejami drugiej wojny światowej. Literatura tego okresu cieszy się u nas ogromnym powodzeniem. „Kuzniecki Most” to jednak coś więcej niż dobra powieść, to powieść z wątkami dokumentalnymi, co w najnowszej historii literatury radzieckiej ma już dobre tradycje.

WŁODZIMIERZ PITKIEWICZ

Maciej Chrzanowski: „Próg możliwości”. Szkice krytyczne, Młodzieżowa Agencja Wydawnicza, Warszawa 1982, s. 165, nakład 3150+350 egz. Cena zł 96.—

Sawa Dangułow, „Kuzniecki Most”, Wydawnictwo Łódzkie 1983 r. Przekład Andrzeja Szymańskiego, cena: 800.—

Upadek Franciszka M.

Miał grube ponad sześćdziesiąt lat, a przecież nie przepuścił żadnej: jedną zjednywał pięknym słowem, inną prezentem, a jeszcze innej zwyżajnie płacił. Dla kobiecych pośludków — mówił — mogą poświęcić wszystko. I tak było w rzeczywistości. Mieszkał kątem na jakimś poddaszu i oprócz łóżka i wiadra z wodą nie było tam innych, przynależnych do tzw. domu, mebli. Łóżko spełniało, oprócz wiadomej roli, funkcję krowki. Pobyt każdej kobiety Franciszek M., zaznaczał na deskach nożem, wycinając dość głęboki karb w próchniejącym już drewnie. Ile było tych karbów? Franciszek sam nie wiedział. Przez te wszystkie lata baby tylko przetrwały sienne i wymyśliły w nim pięćmi słomę do cna.

Franciszek M., kiedy rozpacział, iż jakaś podrywajka wzięła pieniądze i uciekła z nim się do niej dobrał, przychodził do jedynej w miasteczku knajpy z mocnym postanowieniem upić się do utraty przytomności. Mówił:

— Wszystkie one są jednako, wszystkie. Przewraca taka filiżką, skręca się, wyje pod tobą, a ręką maca, gdzie położyłeś portfel. Mówię wam, chłopcy, szkoda, że tej rzeczy nie sprzedają w sklepie albo w aptece na receptę. Kupiłbym kilka sztuk i miałbym spokój. Ot co.

Zebrał przy stolikach kiwał z politowaniem głowami. Wiadomo: Franciszek zawsze o jednym. Knur z niego niewąski, to fakt. Napsuł dziewczyn, że nie zliczysz, a ile meżatek biegło na to jego poddasze? Przed wojną awabił do siebie córke wachmistrza, a gdy matka pobiegła ratować swoją latorośl — tej także nie przepuścił. Miał coś w sobie, fakt. Ma jeszcze i teraz, choć opuścił się trochę, przestał dbać o wygląd, piłe częściej, niż zazwyczaj.

— Ej, Franciszku, pewnie pościszesz? — wołano.

— W tych sprawach nie ma postu.

— A możesz już wysiadać?

— Cóż to, maszyna jestem, czy co? — obrażał się Franciszek.

szek. — Wysiadać, kiedy umrę. — Powiadają, że płacisz teraz za samo patrzeć... — Ten, co tak mówi, niech mi przysię swoją córkę lub żonę.

Dawniej nikt nie ośmieliłby się na podobne docinki. Franciszek miał ciężką rękę i niejednym z bywalców knajpy odczuł jej siłę. Teraz trochę przycichł, już nie zrywał się od stolika, nie szarżował z pochyloną głową. A mężczyźni czując się bezpiecznie używali na nim ile wlezie i stawiali kolejkę, po których Franciszek rozklejał się zupełnie.

— Tereska też nie jest lepsza — mówił z beznadziejną rozpaczą. — Kupiłem jej sztrukski, zapłaciłem za wczasy na dwie osoby, a ona... — pocięła zacerwienione oczy — a ona pojechała z kierowką z mleczarni. Mówię wam, suka i tyle.

— A mówiłeś, że była dobra — podpuszczał ktoś z siedzących przy stole.

— Tak ją tu zachwalałeś, że chcieliśmy się złożyć i zapłacić jej za noc — dodał drugi.

— Mówiłem, i co z tego? Ech, jakimś wam opowiedział co ona potrafi, to byście tylko gęby rozdziałili. Lepiej wypijmy.

Późnym wieczorem Franciszek włożył się przez uspione miasto podśpiewując sprosne piosenki przerywane chichotem lub grubymi przekleństwami. Miejscowi znali jego przywarę, toteż traktowano go trochę z lekceważeniem, lecz zyczliwie, jak nieszkodliwego ma-

niaka, który życie podporządkował grzesznemu celowi.

Jesienią, kiedy pojawiły się pierwsze rude liście na brzożach, a noce stały się chłodne i ciemne, do miasteczka przyjechał cyrk. Przez cały dzień wznoszono ogromniasty namiot, ustawiano wokół ogrodzenie, wieszano lampiony i plachy kolorowych reklam. Z braku odpowiedniego placu w środku miasteczka, cyrk wypchnięto na obrzeże, na miejsce byłego kirkutu, na teren mający złą sławę i kojarzący się z duchami, strzygami i siłami nieczystymi.

Przez cały następny dzień cyrkownicy chodzili po ulicach w pstrokatych strojach fłakając kozły, tańcząc, grając i prezentując oswojone niedźwiedzie.

Franciszek wraz z kolegami obserwował kawałkami pięknych koni ze stopni mordowni.

— Takiej jeszcze nie miałem — powiedział trumfiarz. — Popatrz, jaki ma kuperek!

Woltyżerka wdziała usmiechając się wykonywała salto na czarnym jak noc koniu stąpającym w takt muzyki.

— Nie miałem — zgodził się Franciszek i poczuł, jak robi mu się gorąco.

— Nie dla ciebie — odezwał się były magazynier G.S. — Dla takiej nasz prezes też byłby za mały.

A kiedy dziewczyna wykonała mostek i z wypiętym łonem przesunęła się obok stoczonych przed mordownią mężczyzn, Franciszek pojał ostatecznie, że całe jego życie było jednym pasmem poszukiwań. Wszystko, co dotąd było, nie

miało znaczenia. Przecież szukał tej jedynej, dziewczyny w czarnych, siatkowych pończochach, która stojąc w rozroku na siadle pozdrawiała mieszkańców miasteczka.

— Będzie moja! — powiedział głucho. — Jeszcze dziś będzie moja!

— A Tereska? — przypomniał krawiec Banaszczyk.

— Głupiś i tyle — Franciszek nie odrywał oczu od oddalającej się woltyżerki. — To nie tylko kobieta, to szczęście.

Wieczorem Franciszek włożył swój najlepszy garnitur, kupiony jeszcze w końcu lat pięćdziesiątych, wyczyścił buty, natarł wodą, kolońską twarz i wsadziwszy 10 tysięcy złotych do kieszeni, poszedł w stronę kirkutu.

Thum walił gęsty, ludziska pchali się niecierpliwie, z głosników lały się skoczne melodie, porykiwały ukryte za ogrodzeniem lwy i rżały niecierpliwie konie. Wielu z wchodzących pozdrawiało stojącego przy wejściu Franciszka, niektórzy pytali dlaczego nie wchodził.

— Mam czas — odpowiadał zagadkowo.

Oto wchodził ostatni widzowie, dwaj młodzi mężczyźni w zielonych uniformach, zamykają białymi drzwiami, nad areną zapalają się światła, orkiestra gra tusz. Zjawia się wysmukła pani w złotym płaszczu narzuconym na różową suknię i miłym, ciepłym głosem wyraża swoją radość i szczęście, że cyrk może dziś zaprezentować swój program tak

wspanialej publiczności, młotnikiem i koneserem sztuki mającej tak piękne i stare tradycje.

Gra muzyka, zrywają się oklaski, na złotą arenę wbiegają klowni — i w tym momencie przez zgłęb i śmiechy, przedzierają się pojedynczy ludzki krzyk. Jest wibrujący, coraz wyższy, ciągły, jakby krzyczący był poddawany coraz to wymyślniejszym torturom. Początkowo wszyscy sądzą, że to część programu, że tak widocznie być powinno, lecz arena pustoszeje, klowni gęsto znikają, orkiestraci odłożyli instrumenty i także oglądają się za siebie, na zaplecze ukryte za złotą kotarą. Trwa to niedługo, bo oto pod czaszą namiotu wdziera się inny ostry dźwięk — jęk karetki pogotowia ratunkowego.

Po kilkunastu niecierpliwych minutach spektakl rozpoczęto, a pani w złotym płaszczu przeprosiła publiczność za nieprzewidziane opóźnienie spowodowane drobnym incydentem, jaki miał miejsce na zapleczu.

Dopiero nazajutrz dowiedzieli się, że Franciszek M., jest w szpitalu, że ma wyrwane genitalia, że nie wiadomo kogo podejrzewać o ten haniebny czyn, gdyż znaleziono go krzyczącego obok klitek ze zwierzętami, że on sam niczego nie pamięta, a pytany powtarza jedno i to samo: puść cholero! Tak był prawdziwy upadek Franciszka M.

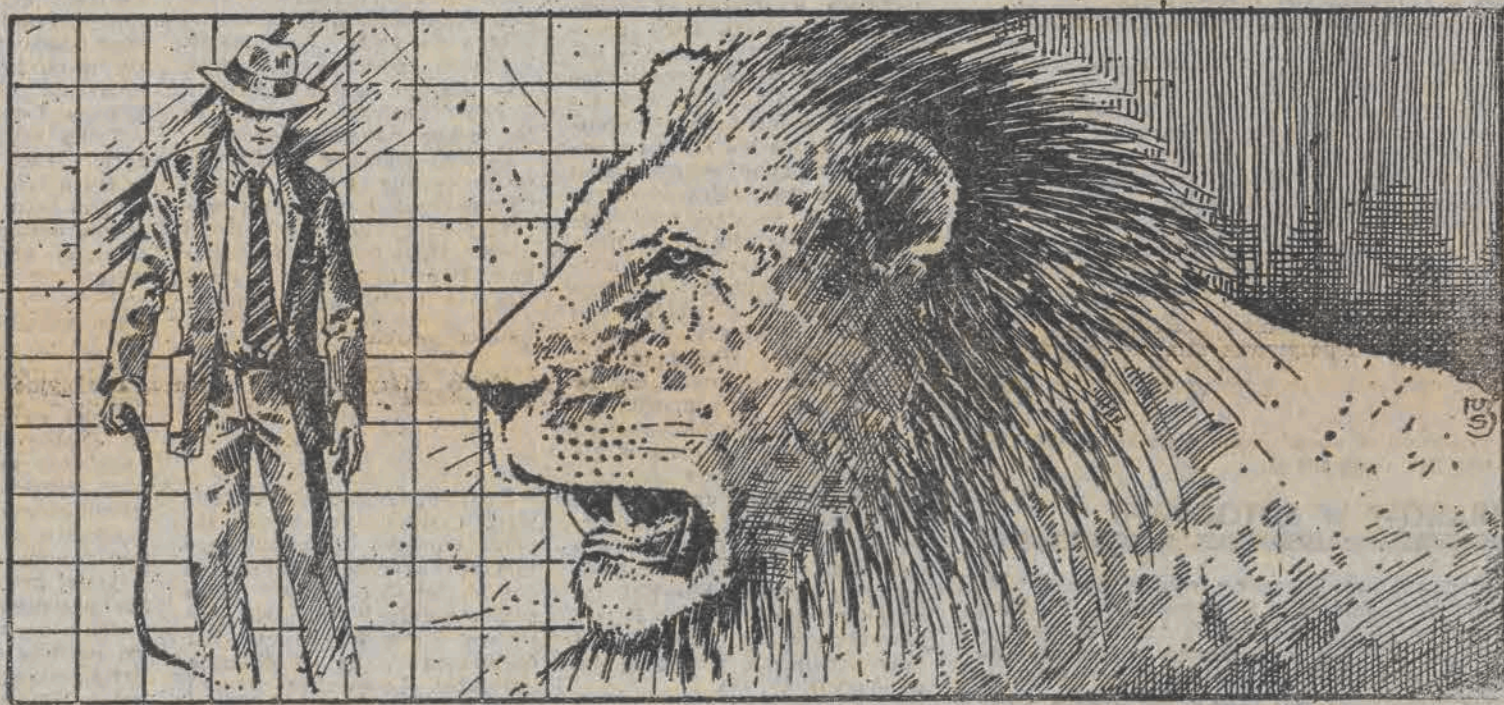
Romka Katafalk

Pan mecenas Karol W. dobił sześćdziesiątki. Burze i niepokoje, a także porwy serca miał dawno za sobą i teraz rozkoszował się monotonią codzienności, mieszczańską stabilizacją i niezamąconym spokojem własnego mieszkania. Wszystko w jego życiu zostało uporządkowane, raz na zawsze ustawione na swoim miejscu, niezmiennie i wygodnie. W zespole adwokatów był lubiany, brał z reguły sprawy spadkowe, procesy o ziemię lub co najwyżej o niedotrzymanie przez jedną ze stron umowy zawarcia związku małżeńskiego. Był mecenas Karol W. człowiekiem skrupulatnym, docieklwym i w każdej sprawie bronił swoich klientów zawzięcie, z przekonaniem i swadą, jakiej mogli mu pozazdrościć młodzi adepci prawa.

Jak wspomnieliśmy, życie mecenas Karola W. było nieciekawym i jednostajnym: rano w zespole adwokatów, rozmowy z klientami, wystąpienia w sądzie, po południu kawa w jedynej w miasteczku kawiarence, powrót do domu, późny obiad, oglądanie telewizji, czasem lektura jakiejś powieści i około północy łożko. Mieszkał sam, żona opuściła go ćwierć wieku temu odchodząc raptem z jakimś trenerem piłkarskim, który przyjechał do miasteczka wraz ze swoją drużyną rozegrać mecz z miejscową „Spartą”. Dziś mecenas nie pamięta wyniku tamtego meczu, jak nie pamięta twarzy kobiety, która zaledwie przez trzy miesiące była jego żoną. Więcej o niej nie słyszał. W jego dowodzie osobistym w rubryce „stan cywilny” jest napisane „żonaty”, choć on sam zapomniał czego ten zapis dotyczy. Po kobiecie mieniącej się jego żoną, pozostały jakieś sukienki, kilka chustek i sznurowane wiśniowe buciki. Wszystko to wisł i leżało tam, gdzie zostało postawione i powieszona ćwierć wieku temu. Mecenas Karol W. jakoś nie troszczył się zbytnio o porządek, o wygląd mieszkania i jego wystrój. Raz w tygodniu zjawiała się gluchoniema Genowefa i urządała generalne sprzątnięcie, polegające na przesuwniu śmieci z jednego końca podłogi w drugi.

Kobiety? Trafiły się, a jakże, niektóre zamierzały nawet pozostać na stałe w jego nieciekawym i nieprzytulnym mieszkaniu, lecz mecenas dość szybko i bezceremonialnie przerywał znajomość, dawał na odchodne kilka banknotów, a na rozpaczyliwe zawodzenie, „co teraz powie mój mąż?” lub „jak ja się pokazuje mamie na oczy?” opowiadał przypowieść o powrocie syna marnotrawnego. I wszystko toczyło się w konwencji klimatu małego miasteczka, utartym torem spraw codziennych i banalnych, gdyby mecenas Karol W. nie odwiedził pewnego lipcowego dnia miejscowej ubezpieczalni.

Dzień był upalny, nagrzane mury domów parzyły, ptaki z rozchylonymi dziobami zapadały w cieniste ogrody, psy z ocza-



Rys. Janusz Szymański-Glanc

mi nabiegłymi krwią warowały w pobliżu publicznych studni, nawet pijacy siedzieli osowiali i oklapnięci w mrocznej nawie miejscowej gospody. Mecenas wyszedł z sądu i drobiazgi skoczkami pomknął w stronę budynku ubezpieczalni. Pod pachą skrył zielony skoroszyt, a w rękę dźwigał czarną, niemodną teczkę.

W budynku ubezpieczalni było chłodno i pachniało politurą. W sekretariacie siedziała dziewczyna z podwinętą aż pod samą pępek czerwoną spódnicą. Górna część ciała była osłonięta skąpą szmatką ledwo zakrywającą sterzące piersi. Dziewczyna była ogniste ruda, o przeraźliwie białym ciele pokrytym brązowymi piegami. Kiedy podniosła na mecenasa oczy, ten zgłupiał ostatecznie i do reszty: były to dwa, średniej wielkości spodki wypełnione światłem starego miodu.

— Ja do szefa — powiedział pośpiesznie, czując, że mać mu się w oczach od kolorów i goliżny.

— Nie ma.

— A kto jest?

— Ja jestem — powiedziała dziewczyna uśmiechając się do mecenasa życzliwie i jakby zalotnie.

Mecenas przepił z nogi na nogę.

— Co ja teraz pocznę? — zapytał głośno sam siebie. — Gdzie mam go szukać?

— Może nadejdzie — pocieszyła go dziewczyna. — Wychodząc nie mówił, że nie wróci.

Mecenas przycupnął na chłodnym krzeselku. Jego oczy nie mogły się oderwać od szczupłych ud i zwinnych ramion unoszących się nad maszyną do pisania.

O szesnastej wyszli z ubezpieczalni razem. Wspólnie wypili kawę w pustej o tej porze kawiarence, wspólnie poszli przez rozżarzone do białości miasto nad rzeczkę, gdzie dziewczyna zaczęła się brzechtać w piyciutkiej wodzie od czasu do czasu przyskajac na siedzącego w cieniu ołsyny mecenasa. A kiedy się ściemniło poszli do mieszkania mecenasa i tam siedzieli długo w noc popijając „Ararat” i mówiąc o rzeczach, których narrator tego zdarzenia może się jedynie domyślać.

Nie, nie z tych rzeczy. Dziewczyna co prawda zataczała się zanosząc się głośnym śmiechem, mecenas jednak rytersko podał jej ramię i odprowadził do domu stojącego już za miastem nad samymi łakami. Owszem, pocałowała go jakimś obłąkałym pocałunkiem, w którym było więcej z zabawy, niż z namiętności. I poszła spać.

Nazajutrz, gdy mecenas zjawił się w zespole adwokatów, stary woźny Wincenty powiedział, że był do pana mecenasa telefon i że pani jeszcze zadzwoni.

Ledwo zagłębił się w papierach, a Wincenty zjawił się ponownie.

— Dzwonił — powiedział.

Mecenas Karol W. wziął słuchawkę.

— Cześć Miśku! — zabrzmiał wesoły głos, po którym mecenas dostał gęsiej skórki. — Jak samopoczucie po wczorajszym?

Mecenas rozejrział się i stwierdziwszy, że nikt nie słucha wyszeptał:

— Proszę ciszej, ktoś niepowołany może...

— Miśku, nie poznajesz? To ja, Romka, z ubezpieczalni! Teraz zaskoczyłeś? Wiesz, fajnie było wczoraj, daję słowo. A co robisz dzisiaj?

Mecenas zaczął bąkać coś niewyraźnie, płatać się, przykrywał dłońmi słuchawkę.

— Rozumiem — dźwięczał głos dziewczyny. — Nie możesz mówić. Wobec tego czekaj na mnie w kawiarni, o.k.?

— Dobrze — wymamrotał oszołomiony.

Od tego dnia życie mecenas Karola W. zostało wywrócone do góry nogami. Właściwie nie było to życie, ale jakiś nieoponowany pęd, gwałtowne zakręty i zmiany, następujące po sobie nieprzewidziane zdarzenia, radość, oślepiające słońce i wyczerpujące, lecz słodkie zmęczenie. Były chwile, w których pragnął jednego: szaleńczego samozniszczenia, rozkosznego unicestwienia, nie poprzedzonej świadomością zagłady. Zdawał sobie sprawę z faktu, że ma już sześćdziesiątkę, a ten rudy płomień zaledwie dwadzieścia pięć. Powiedzieć, że to nienasycone potrawa jeszcze pół roku, rok, a potem? Zjawi się młodszy i dziewczyna zniknie, równie nagle jak się pojawiła. Pozostaną po niej jakieś flakoniki, pudełka z kremem, kilka fatalaszków i zapach jej skóry, którym przesiąknęła pościel, meble i ściany.

Przyszła jesień. W długie wieczory w domach płonęły lampy, w kinach wyświetlały filmy, w telewizji trwała transmisja kolejnego meczu piłkarskiego. Tylko w mieszkaniu mecenas Karola W. rozgrywa się niekończący się liryczny poemat o miłości. Poemat ma wiele pieśni, wiele ich odmian. W czasie jednej z nich, ruda dziewczyna, Romka z ubezpieczalni, zaczyna nagle krzyczeć. Jej głos przenika ściany, wydołuje się na ciemną ulicę. Wzywa pomocy, zaklina ludzi i niebo, by zjawili się, bowiem z mecenasem coś się stało, coś niezrozumiałego a jednocześnie strasznego.

Tupot butów pod oknami, ktoś kogoś wzywa, zjawia się pogotowie, a z nim wścibscy sąsiedzi wciskają się do mieszkania. Zastają sytuację wielce niezwykłą i osobliwą: gola Romka siedzi okraciem na mecenasie, a ten w śmiertelnym skurczu trzyma w zacisniętych bezwiednie dłońach jej gołe, posiniąte piersi. I to byłby koniec naszej historii. Od tego dnia ruda dziewczyna zdobyła przydomek Romka-Katafalk. Tak jest do dziś, choć od zdarzenia minęło wiele lat, a pamięć o mecenasie Karolu W. umarła razem z nim.

DO A. B. SEKATORA

W 44 numerze „Odgłosów” z dnia 29 października 1983 r. przeczytałem krótką notatkę pt. „Jerzy Wawrzak w „Dzienniku Łódzkim”, podpisaną przez anonimowego A.B. Sekatora, w której to tenże „Sekator” kwituje płytkim dowcipem, słuszne wyrazy ubolewania Jerzego Wawrzaka, z powodu lekceważącego stosunku Wydziału Kultury m. Łodzi do działaczy kultury naszego miasta.

Dziwi mnie również fakt, że „Odgłosy” jako jedyny tygodnik społeczno-kulturalny w Łodzi tylko tyle mają do powiedzenia na temat inauguracji roku kulturalnego w Łodzi.

Pragnąłbym również powiadomić Redakcję, a jednocześnie może zażądać od Jerzego Wawrzaka, iż widocznie takie są nowe zwyczaje kulturalne Wydziału Kultury UME i nie tylko osoby indywidualne, zasłużone dla Spraw Kultury naszego miasta, ale również Stowarzyszenia i Związki Twórcze są lekceważone i nie godne tego, by je zapraszać na inaugurację roku kulturalnego.

„Sekatorowi” życzę by zajął się tym, do czego z racji nazwy jest przeznaczony a w tygodniku Społeczno-Kulturalnym może jednak pisać profesjonalni, redaktorowi „Odgłosów” dedykując fraszkę J. Sztudyniera

„Szuka szczęścia w pornografii kto inaczej nie potrafi”
z poważaniem
JERZY NEUGEBAUER

GDZIE MOŻNA KUPIĆ ZALEGŁE „ODGŁOSY”

„Odgłosy” czytam od deski do deski. Niestety, przedtem można było kupić gazetę w kilku kioskach, a teraz gazeta ta trafia tylko do jednego punktu. Zanim zorientowałem się, gdzie właściwie dostanę „Odgłosy”, dowiedziałem się o tym, że tylko do jednego punktu trafiają „Odgłosy”, a następnie zostają wycofane jako zwrot. Z radością zacząłem nabywać gazetę ponownie, likwidując w ten sposób zwrot. Ale 17 września 1983 r. musiałem wyjechać na miesiąc poza granice Polski. Poprosiłem więc, żeby mi odczytać do teki wychodzące numery „Odgłosów” do chwili mego powrotu. Kioskarka odmówiła tłumacząc, że jest za dużo tezek. Tak więc zostałem bez 4-5 numerów gazety. A „Odgłosy” zbieram od chwili gdy po raz pierwszy dostaję je do ręki.

Zwracam się z gorącą prośbą, jeżeli jest możliwe, o uzupełnienie luki, tzn. przesłanie (odpłatnie) egzemplarzy gazety od nr 39 do nr 41 włącznie. Z szacunkiem

JANCOZ TODOROW
68-200 Żary
ul. Gnieźnieńska 21/7



Koło Łódzkie Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego Żydów w Polsce zwraca się z uprzejmą prośbą do redakcji „Odgłosów”, o udostępnienie po 1 (jednym) egzemplarzu czasopisma „Odgłosów” z każdego wydania z września 1983 r.

Za szybką i pozytywną załatwienie sprawy z góry dziękujemy.
Członek zarządu
Instruktor
(OLEG GRYSZTAJN)



Pozdrowienia dla bardzo dobrze redagowanych „Odgłosów” przesyła czytelnik z Katowic.

P.S. Jednocześnie mam wielką prośbę. Z powodu choroby nie udało mi się kupić nr 33 i 37, które brakują mi do rocznika. Bardzo bym prosił o ile to jest naturalnie możliwe) o przysłanie mi tych numerów za zaliczeniem pocztowym. O ile to jest niemożliwe, ośrodek o informację, w jaki sposób numery te mógłbym dostać. Z góry dziękuję.

Podaje adres:
STANISŁAW STOLECKI
40-310 Katowice
ul. Stacyjna 2



SZANOWNA REDAKCJO,

Jesteśmy miłośnikami fantastyki i science-fiction. Ucieszyła nas wiadomość, że jeszcze jedno czasopismo dołączyło do grona tych, które promują literaturę spod znaku s-f — mamy na myśli oczywiście łódzkie „Odgłosy”. Dowiedzieliśmy się o tym trochę późno, podobno „W kręgu fantastyki” drukowane jest od połowy 1982 roku, a my nabyliśmy dopiero nr 45/83. W związku z tym mamy wielką prośbę. Czy jest możliwość nabycia zdezaktualizowanych numerów, w szczególności tych, w których jest „coś” z fantastyki? Gdyby taka możliwość istniała, chętnie nabylibyśmy „Odgłosy” za zaliczeniem pocztowym, prosimy o ewentualny koszt wysyłki. Czekamy na odpowiedź.

Nowi czytelnicy (tylko ze względu na fantastykę) „Odgłosów”
BARBARA BIESIADA i GRZEGORZ PIETRZAK

OD REDAKCJI: W sprawie zaległych „Odgłosów” prosimy zwracać się do RUCHU. Stare czasopisma sprzedaje się na przykład w Punkcie Sprzedaży Prasy Archiwalnej (filia RUCHU), przy ul. Piotrkowskiej 175a. Redakcja nie zajmuje się sprzedażą pisma i nie dysponuje większą ilością numerów pisma, poza kilkoma niezbędnymi w pracy egzemplarzami, a tych pozbyć się nie możemy.

MIT O RÓWNOŚCI

W dobie utyskiwań związanych z kryzysem gospodarczym mówi się coraz głośniejszymi głosami o funkcjonującym u nas rynku „wolnych miejsc pracy”. Menedżerowie rodzimego przemysłu z bliskim pożądanym w oczach poszukujących pracowników w różnych działach gospodarki. Ubolewa się nad tym faktem, do granic traktowania tego jak przekleństwa, ciągnąc nad całym systemem gospodarczym i nie tylko gospodarczym. Równoległe, jak na ironię porównywalne nuta lansowanych hasel „równości zawodów; równości ich prestiżu (żadna praca nie hańbi!), równości efektów („praca uszlachetnia!”).

Tymczasem sytuacja na rynku pracy wygląda może nie naj-

weselej, ale jest całkowicie do opanowania. Sprawa jest bowiem nienowa.

Wiadomym jest dla każdego poszukującego pracy, jak i dla każdego posiadającego już etat, a rozglądającego się wokół uważnie, że wolne miejsca pracy są, ale na stanowiskach pracowników fizycznych, najczęściej nie wymagających kwalifikacji, lub wymagających kwalifikacji, które można zdobyć w stosunkowo krótkim czasie przycuczenia do zawodu. Oczywiście są od tej reguły wyjątki, które jednak nie obalają tezy głównej, a przeciwnie potwierdzają ją.

Chodzi o prace nie tyle proste, ile nudne i nużące, nie zyskujące sobie społecznego aplauzu.

A przecież każdy pragnie być kimś znaczącym, choćby w swym małym świecie, w wymiarze mikro, we własnym środowisku.

Jak wyglądają marzenia młodych ludzi, wstępujących dopiero w życie, zaczynających swoją życiową karierę?

Młodych, na tyle jednak, aby zrozumieć już, że mimo wszystko — aktorka — w odczuciu społecznym to nie to samo co sprzątaczką — chociażby ta ostatnia była najuczciwszym człowiekiem na świecie, zaś ta pierwsza — kanalia. I dorosłych na tyle, żeby wiedzieć już, że słowo — lekarz — otwiera serca znacznie szybciej niż słowo — kominiarz — chociaż szczęście przynosi ponęt ten ostatni.

Marzenia młodych dziewcząt; czasem któraś chce być eksperymentką w obecnych warunkach jest to marzenie ze wszech miar uzasadnione, żadna nie chce być prządka, kłaczka, szwaczka... Żadna nie chce być jedną z wielu anonimowych, szeregowych pracownic, chce być jedną. Chce być psychologiem, archeologiem, prawnikiem.

Tylko w wywiadach sprzed kilku lat pojawiała się na ekranie telewizyjnym uśmiechnięta twarz dziewczyny zapewnijająca, że marzy o tym, aby pójść w ślady matki i zostać klepaczką tyłków na przykład (autentyczny zawód w branży obuwniczej). W istocie zaś owa panienka, gdy jej nieco lat przybyło i dostrzegła jak szare i ponure jest życie jej matki, w porównaniu na przykład z życiem matek koleżanek, biegła o sił do technikum wieczorowego i pogłębiając, albo i nie pogłębiając swej wiedzy, uzyskiwała dyplom technika — a wszystko w tym celu, aby nie pracować fizycznie. Marzeniem wówczas stawało się „biuro”.

Podobne są marzenia chłopców; jeśli któryś już chce być kierowcą, to rajdowym, ewentualnie jeżdżącym na TIR-ach, a nie pekaśnikiem czy tramwajarzem. I choć z pewnością są mniej romantyczny w podchodzeniu do spraw zawodu, bardziej praktyczni i rzeczowi, to przecież w tych układach wola był inżynierem. (Nawet jeśli obok dyplomu, miałby mieć prywatny zakład naprawy.)

Każdy z tych młodych ludzi staje się apostołem gwiazdorstwa. (Nie chodzi o gwiazdorstwo aktorskie — to zupełnie inny rodzaj młodzieńczego marzeń. Chodzi o gwiazdorstwo w wymiarze mini, o atrakcyjność dla swojego chłopca czy dziewczyny, później dla swoich dziadków.)

Dlatego zupełnie niepotrzebnie na siłę, lansuje się tezy o równości zawodów. To nie jest uczciwe. Powtarzam, to nie ma nic wspólnego z szacunkiem na jaki zasługują każdy, bez wyjątków, zawod. Tworzą hasła o równości zawodów, tworzymy kolejny mit, który życie weryfikuje! Młodzi ludzie, dorastając, dostrzegają, że po raz kolejny ich oszukano. Spotykają się wokół z przejawami preferencji zawodowych, z przejawami poklasku społecznego dla pewnych zawodów, a przez to dla ludzi wykonujących ten zawód, a zupełnie innym brakiem tegoż, czy wręcz wrogoscią w stosunku do innych.

Recepta?

Ja wiem, że nie można miary szacunku, aplauzu, atrakcyjności danego zawodu przeliczyć na pieniądze, i że wszelkie przedliczniki z założenia będą niesprawiedliwe — jednak wydaje mi się, że element finansowy odgrywa jakąś rolę, a w każdym razie może odgrywać poważną rolę przy wyborze zawodu. Nawet tego nieatrakcyjnego. Dlatego powinno być sprawą oczywistą, że w niektórych zawodach ludzie zarabiają więcej. Nie powinno nikogo dziwić, że pracownik fizyczny niejednokrotnie zarabia więcej niż urzędnik. Taki układ powinien być regułą! Przynajmniej na razie! Nie tylko zdobyte wykształcenie powinno kształtować wysokość zarobków. Jeśli bowiem pominiemy, przy rozliczeniach finansowych ów element braku atrakcyjności pewnych zawodów, to sytuacja na rynku pracy zastrzy się. Nadal będzie brakowało rąk do pracy w najbardziej istotnych gałęziach przemysłu, właśnie na stanowiskach bezpośrednio produkcyjnych. Stworzenie systemu finansowego preferującego zawody mało popularne, a przecież tak potrzebne, jest jedynym wyjściem z sytuacji. Moim zdaniem, powinny wchodzić w grę nie symboliczne, a więc odwieczanie niczego nie zaliczające sumy, ale pokazane...

I nie trzeba robić wokół tego taniej aureoli. Trzeba uczciwie powiedzieć, że pewne grupy zawodowe muszą zarabiać więcej, znacznie więcej od pozostałych, nie dlatego, że mają większą wydajność pracy, bo to jest element oddzielny, nie dlatego, że chodzi o prestiżowe działy gospodarki, itd., ale dlatego, że praca jest nieatrakcyjna. Przynajmniej dla znacznej części społeczeństwa. Uatrakcyjnić ją można tylko poprzez zwiększenie (znaczące) wynagrodzeń. Tylko to przywróci ludzi do niej. Motywacja ekonomiczna była, jest i będzie najważniejszym bodźcem. Nie próbujmy natomiast, zamiast rzetelnie płacić, budować mity o niezwykłej przydatności tych zawodów.

Proszę mnie nie nie oszukiwać. Nie chodzi o to, aby ukoczenie studiów miało wyłącznie efekt w postaci satysfakcji. Jest oczywiste, że absolwent uczelni powinien zarabiać więcej, tak jak nie wzbudza kontrowersji to, że lata nauki, nawet w szkole średniej należy premiować w sferze wynagrodzeń.

Mój nauczyciel historii, gdy ktoś przy odpowiedniej płóci same ogólniki nie podając konkretnych, mówił: to też prawda, tylko nie o to chodzi. Wydaje mi się, że z taką sytuacją mamy do czynienia w chwili obecnej. Wszystkie powyższe stwierdzenia są prawdą. Ale nie o teoretyczne rozważania chodzi. Nie chodzi przecież o ewidentne prawdy powtarzane po wielokroć, ale o rzeczywiste znalezienie wyjścia z kryzysu.

Z pewnością proponowane rozwiązanie jest doraźne. Później, kiedy osiągniemy pewien stopień stabilizacji gospodarczej i politycznej — będzie można pomyśleć nad rozwiązaniem bardziej racjonalnym. Chociaż z drugiej strony; doświadczenie przekonało nas niejednokrotnie, że nic nie jest tak trwałe, jak rozwiązania prowizoryczne i doraźne.

BARBARA KIELBASA

KATOLICYZM A ROZWÓJ POLSKI

Pismo „Odgłosy” kupuje brat, nie ja, tym niemniej czytam, gdy ono spadnie mi w ręce. Ostatni nr 44 z dnia 29.X, przynosi frajantujący materiał, którego już sam tytuł jest wielce atrakcyjny, mianowicie „Katolicyzm a rozwój Polski”. Jest to elaborat bardziej publicystyczny niż o zacięciu historycznym, w każdym razie nie streszcza dostatecznie problematyki synagownej w tytule. Nie zamierzam pisać „Odgłosy” esnyli wyrzutów za zamieszczenie wypowiedzi p. Edmunda Lewandowskiego, i że dały się one nabrąć na modny obecnie w naszej publicystyce temat. Tym niemniej dziwi mnie trochę to, bo wiem że miasto Łódź nie cierpi na przesytność dewocyjną; stan naturalny mie-

rzalny otwartością światopoglądów społeczeństwa nie jest tu zakłócony. Pan Lewandowski, choć nie wiem kim jest, gdyż nie został przedstawiony w gazecie, każe ufać mi w szczerść jego wypowiedzi i odrzucenia emocje. Moje emocje bynajmniej nie nazywają się uprzedzenia, w każdym razie nie pochodzą z tych źródeł. Z problematyki sporów światopoglądowych w prasie jestem na tyle oswojony, iż pomyślałem sobie: po co ja mam to robić. Jest mi to tym bardziej niepotrzebne z tego względu, że muszę odnieść dywagacje pana Edmunda w całość życia prasowo-intelektualnego kraju, a „Odgłosy” nie pozostają jedynym moim piśmieniem. Dlatego na przyszłość Was proszę: nie robcie takich zapowiedzi nawet, jeśli się uwzględni, że gazeta wybiera sobie model oddziaływania na psyche czytelnika. Po przeczytaniu artykułu muszę stwierdzić, że autor nie przekonał mnie co do drugorzędnych cech mentalności katolicko-chrześcijańskiej. Już sama geneza chrztu Polski tzn. to, że Mieszko został jakby ogłupiony przez ówczesną sytuację społeczno-polityczną i musiał się zdecydować na brzemienne w skutki kroki, podana przez p. Lewandowskiego, mnie nie zadowala. Może było bardziej prozaicznie, tzn. że władca nasz, zresztą jak wiemy bardziej hipotetyczny, bo nie mamy dostatecznie bezspornych poświadczeń co do realności istnienia jego osoby pod późniejszą opieką imieniem, musiał sprostać na polu polsko-czeskiej rywalizacji, jeśli chodzi o świętość, przepych i wspaniałostwo dworów? Jeśli to uwzględnimy, to można przyjąć, że niebezpieczeństwo niemieckie nie było wówczas realne i Mieszko wciągnął się sam w kabałę, ale w sposób zawiniony przez kobiety po części. Nie chcę snuć dalej metnych rozważań nad stanowisko-populacyjnymi korelatami wyboru. Dalej bowiem się u nas potoczyło nie zawsze zgodnie z wyobrażeniami na temat woli Bożej.

To również, że Kościół katolicki nie wypuścił ludzi na szersze wody zanim nie uzyska od nich pożądaną osobowość — takie przynajmniej jest jego założenie wychowawcze, nie może być samo w sobie jego wada. Oczywiście autor tego nie twierdzi, ale rysuje nam rzekomą następstwa, co pozwala się domyślać intencji. Opiera się on na spostrzeżeniach praktycznych badaczy i socjologów, głównie Francuza Peyrefitte, zresztą ołowitka dość uniarkowanego w swych sądach. Wedle tej nauki katolicy są rygniami, obibokami, odkrajająkami, jednym słowem — leserzy. Rodzi to wstręt do konkretnych, celowej i przemysłowej roboty. Ja tego nie będę komentował. Proponuję, aby autor jeszcze raz przeczytał to co sam napisał, ewentualnie przeczytał to, co ja tu napisałem, popuścił się w czolo, wtedy zobaczymy do jakich dojdzie konkluzji.

Widzenie wyłącznie negatywnej roli zgrupowań jezuitskich w naszej historii czy poprzez naszą historię w ogólnej historii ludzkości, też jest delikatnie mówiąc — dużym szalbierstwem. Skróciłość wypowiedzi nie pozwala autorowi umotywić dostatecznie, nie starczyło miejsca, by rzutować nieco z historii zakonu. Ostatnio była sztuka Hochwäldera w Tv pt. „Święty eksperyment” i myślę, że ilustruje ona dostatecznie zróżnicowanie ocen, jeśli chodzi o ostateczną ocenę zakonu. W Ameryce działał on w innych niż polskie warunkach, tym niemniej widzimy, że zakonnicy ci w każdej sytuacji potrafili się przeobrazić w to, co rzeczywiste stanowiło przedmiot ich powołania. Do nas przyszli i robili z tym, co zastali, tak jak to umieli, nie będąc przy tym skłonni do dochozczasowymi obciążeniami podległości państwowo-prawnej, jaka przypadała innym bractwom. Czy mamy się dziwić, panie Lewandowski, że ktoś mógł im zarzucić błędy? Pokorą zjednywali odporne czasem u nas dusze do brewiarza. Wbrew temu, co się powszechnie sądzi, że Polak to jest i był katolik. Obiektywne zaś skutki zeszpecenia nieco naszego charakteru narodowego, to nie był podtekst katolicyzmu, panie autorze. Jeruści, prowadząc szkoły, nie wytlumiali naszego rozmachu, będąc doradcami wielkorządców nie izolowali naszego społeczeństwa pęnoszłacheckiego przed światem sewnętrznym. Jest w rozumowaniu pana Lewandowskiego sprzeczność. Mianowicie — skoro Polak gwałtowniej cenil wolność, jakże mógł tak bezrefleksyjnie poddawać się kuratelii jezuitskiej. Gdy pomyślność narodu mierzy się zakłopotaniem wobec jego ciał światopoglądowo-wyznaniowych, tak jak to czyni pan, panie Lewandowski, wobec słabości tego narodu, to wtedy wnioski wychodzą kosławne. Czy w owym okresie nie było nas stać na coś więcej, niż na dargie pierza? Zapewne nie, jednak odpowiedzialność za to, że przedać tradycję był u nas tak potężny, że uczynił nas cherlakami do takiego poziomu, że dziś musimy leczyć tego skutki, nie jest zasługą jezuitów. Polska wówczas miała możność korzystniejszych nieco rozwiązań ustrojowo-terytorialno-administracyjnych. Ja nie szereg defetyzmu wobec pańskich poglądów — zapewne laik, w swoim elaboracie pominał pan choćby to, że podczas zaborów, gdzie rola oddziaływania Kościoła była znacznie ograniczona, cechy Polaków, zdaniem pana, zasadniczo ukształtowane przez tę instytucję nie uległy zasadniczym odkształceniom, też o czymś świadczy. Luka owa nie zdołała zasadniczo spać postaw Polaków i garnęliśmy się do nowej, odróżnionej eklezjy — zarówno tej pierwszej, jak i drugiej. Prusak nie wychował nas na ludzi solidnych, a Austriak na legislatorów. Zaborca rosyjski nie zaszczepił nam swobody. To nie Kościół pozbawił nas wszelkiej inicjatywnej gospodarczej. Niestety, była to ciągła konieczność obrony stanu posiadania polskiego — duszy i charakteru narodu, jego substancji biologicznej, może nie mieliśmy czasu zajmować się sobą tak, jak należało. Z pańskiego tekstu wyciera ogromna zgryźliwość, choć dotyczy on w głównej mierze kwestii praktyki wyznaniowej katolickich społeczeństw, w tym i naszego. Klądz się na to wszystko jakaś bezsilność z tego, że ewangelicy mają lepiej. I tylko na tej podstawie, nie przeprowadzając do wodu, bo trudno za taki uznać zestaw oświadczeń publicystyczno-ewangelicznych, gdzieśgdzie serwowanych przez pana, sądzi pan, że katolicyzm to jest coś gorszego. Może ja za wiele od pana wymagam, bo to tylko publicystyka w piśmie „Odgłosy”, ale wolałbym być przekonany. Niestety, tak się nie dzieje i zresztą nie chcę z panem dyskutować, a to co tu napisałem, to jest moje prywatne stanowisko, dotyczące ocen przedstawionych w pisanym przez pana tekście. Może następnie pan się nawróci i napisze pracę pt. „Cud anarchii w Polsce dawniej a dziś”. Czy typ obecnej naszej religijności i świadomości stanowi przeszkodę, jak to pan kreślił, na drodze dalszego rozwoju społecznego Polski, tego nie wiem dostatecznie, gdyż nie jestem członkiem żadnej zorganizowanej wspólnoty chrześcijańskiej. Może rażą mnie tylko strzeliste dachy kościołów, bo uważam ten styl za prawdziwy przeżytek. Rzeczywiście czasy są nie te i tu przydałaby się modernizacja. Jak to zrobić, to już nie można głowa, choć miałbym swoje koncepcje. Nie sprowadzałbym reformy wyłącznie do sfery wewnętrznych religijnych przeżyć. Z tego też względu nie podejmę z panem polemiki nad znaczeniem odrębności podstawowych dogmatów Kościoła katolickiego dla społecznej mentalności. „Odgłosom” życzę dobrego nastroju.

KRYSPIN JĘDRAS, woj. płocki

P.S. W mojej miejscowości nie ma tak wyraziście się odznaczających problemów, mimo że pozycja świątyni jest znaczna.

Od 1 do 3 grudnia Łódź będzie widownią jednego z większych w kraju festiwali rockowych. „Rockowisko 83” nie dorównuje wprawdzie wielkością festiwalowi w Jarocinie, ale takich ambicji chyba nie ma. Organizatorzy wypracowali własną formułę, która jak dotąd, doskonale się sprawdza. Rockowisko składa się z dwu części. Ta bardziej znana to dwudniowe koncerty w Hali Sportowej. Rewia najlepszych i najmłodniejszych polskich zespołów. Druga część to Przegląd Łódzki Grup Rockowych — impreza inauguracyjna coroczne rockowe szaleństwo. Ponieważ jest to impreza mniej znana, zasługę na jej języku u współorganizatorów i gospodarzy Przeglądu — Centrum Kultury Włóknarzy „Dąbrowa”. Rozmawiam z dyrektorem CKW — Andrzejem Marcinkowskim.

— Czym jest Przegląd?
— Jest to impreza dla amatorów. Dla tych, którzy próbują grać rocka w klubach, świetlicach czy po prostu w domu. Jest to ich pierwszy krok. Tu spotykają się z fachową oceną swojej działalności, otrzymują rady na przyszłość, tu wreszcie mają możliwość wypłynięcia na szersze wody. Dla nas, pracowników placówki upowszechniania kultury jest to właśnie typowa praca upowszechniająca. Z tym, że jej forma jest tu bardzo atrakcyjna.

— Jaka jest formuła Przeglądu?
— Jest to konkurs. Zwykle robimy to tak: zespoły zgłaszające się do nas muszą przynieść kasetę z dwudziestominutowym nagraniem swych utworów. Następnie komisja powołana przez łódzki oddział PSJ, złożona z muzyków i ludzi zawodowo zajmujących się rockiem przesłuchuje taśmy i kwalifikuje część z nich do finału, czyli do występu na Przeglądzie. Zwykle do finału kwalifikuje się 6—8 zespołów.

— Czy nagrywanie kaset nie jest zbyt uciążliwe dla zespołów? Z reguły nie dysponują one dobrym sprzętem do nagrywania. Może to zafałszować ich rzeczywiste umiejętności.
— Być może, ale właściwie nie ma innego sposobu. Co roku zgłasza się do nas 30—40 zespołów z naszego województwa i z ościen-

skich ekscesów tu nie było. Mielśmy za to kłopoty innego rodzaju. Z urzędnikami. Ale to nie istotnego.

— Porozmawiajmy jeszcze o widzach. Czy w tym roku spodziewa się pan dużego ich napływu?
— Nie wiem, naprawdę nie wiem. Publiczność jest kapryśna. Z początku przychodziło nie więcej niż 200—300 osób. Przeważnie rodziny i znajomi występujących. A w zeszłym roku był prawdziwy najazd. Skończyły się bilety, sala była pełna, a pod drzwiami czekało jeszcze kilkaset osób. Niektóre sytuacje były wprost komiczne. Kilkunastu obrotnych chłopów wykombinowało gdzieś drabinę i po niej wchodziłi wprost na salę. Interwenującym bramkarzom, pokazywali bilety na dowód, że wchodzi legalnie.

Dawniej w połowie koncertu otwieraliśmy drzwi i tych najbardziej wytrwałych wpuszczaliśmy za darmo. Pamiętam, jak jednego roku zgłosili się do mnie dwaj wielbiciele rocka, którzy przyjechali aż z Białegostoku. Prosiłi, żeby wpuścić ich za darmo, bo na przeżycie trzech dni w Łodzi mieli tylko 100 złotych.

— Wróćmy jeszcze do finalistów Przeglądu. Co im zapewnicie?

— Będą występować w naszej największej sali widowiskowej, która mieści ponad 500 osób. Znajdująca się tam estrada swobodnie pomieści cały nowoczesny sprzęt muzyczny i nagłaśniający. A w razie potrzeby zostanie powiększona. Ponieważ chcemy uniknąć kłopotów i zamieszania spowodowanego zmianą sprzętu przez kolejnych finalistów, wynajmiemy aparat nagłaśniający, która będzie służyła wszystkim. Postaramy się też zgromadzić podstawowe instrumenty, żeby uczestnicy nie musieli ich dźwigać ze sobą. To jeszcze sprawa do dogrania. Podstawową bazę stworzyć będzie przecież sprzęt finalistów.

W dniu koncertu każdy zespół będzie miał czas na oficjalną próbę, by mógł zapoznać się ze sprzętem i aparaturą. Oddajemy im też drugą salę, aby mogli przed koncertem i w trakcie trwania wypożyczyć i odprężyć się ni-

Kto ich pamięta?

KRZYSZTOF DRZEWECKI



Na dobrą sprawę The Rolling Stones są jedynym zespołem instrumentalno-wokalnym założonym w młodzieżowej konwencji lat sześćdziesiątych, któremu udało się do dziś utrzymać na powierzchni światowego show-businessu, choć gdzieś w połowie drogi odszedł z tego świata Brian Jones, a Mick Jagger coraz częściej flirtuje z filmem, jakby przewidując rychły upadek grupy. Tymczasem w Wielkiej Brytanii dochodzą wieści o próbach reaktywowania innej legendarnej „kapeli” z tamtych lat — The Animals, ale czy rzeczywiście wykonawcy „The House Of Rising Sun” potrafią jeszcze czymś zadziwić słuchaczy po tylu latach rozłąki?

Realnie rzecz biorąc tylko muzyka The Beatles oparła się czasowi i pozostaje reprezentatywna dla tamtego czasu. Tak jak Elvis Presley był nieprzemijającym odkryciem lat pięćdziesiątych, tak John Lennon, Paul McCartney, George Harrison i Ringo Star jako zespół pozostają symbolem muzyki młodzieżowej szóstego dziesięcia lat XX wieku. Zresztą ich utwory zaliczone zostały już do klasyki muzyki rozrywkowej w ogóle: takie tematy, jak „Yesterday” czy „Eleanor Rigby” wykonywane są w słynnych filharmoniach i grane przez czołowe orkiestry symfoniczne na całym świecie. A przecież...

No właśnie — przecież „era big-beatu” przyniosła z sobą daleko więcej interesujących zjawisk muzycznych, które jednakowoż już po paru latach odeszły w zapomnienie. A szkoda. Kto ich dzisiaj pamięta?

Zespół The Yardbirds należał, podobnie jak popularni dzięki swym uroczym brzmieniom utworom instrumentalnym The Shadows i The Ventures, do ścisłej czołówki. Ich przebój „For Your Love” zdobył popularność na obu półkulach. Była to prawdziwa „wylegarnia” świetnych gitarzystów solowych: tutaj grali kolejno Eric Clapton, Jeff Beck, Jimmy Page (późniejszy filar Led Zepelina). Współpracował też z grupą klasyk angielskiego bluesa — John Mayall zanim założył swój własny zespół Bluesbeakers. „Matecznikiem” przyszłych gwiazd była także Graham Bond Organisation, której ówczesny lider zginął tragicznie pod kołami londyńskiego metra popełniając samobójstwo parę lat później.

Iluż wielbiciele mieli w latach sześćdziesiątych płatką młodych ludzi grającą pod wodzą perkusisty — jej nazwa: Dave Clark Five. Czy coś mówi współczesnej młodzieży? Kto zna hasła Herman's Hermits czy Manfred Mann? Ta druga nazwa to nazwisko pianisty i założyciela zespołu, w którym początkowo solistą był Paul Jones (imienik wielkiego już wtedy Toma Jonesa), a następnie jego miejsce zajął Michael D'Abó. Dodajmy, że gitarzystą basowym w grupie Manfreda Manna był Klaus

Voorman, ten sam, który opracował graficznie okładkę long-play'a „Biletsów” zatytułowanego „Revolver”.

Ogromne zainteresowanie towarzyszyło też działalności The Spencer Davies Group. Przebojami „I Am A Man” i „Give Me Some Lovin'” zrobiła ona prawdziwą furorę. To właśnie tutaj debiutował jako kilkunastoletni chłopak Stevie Winwood, który w krótkim czasie przerósł swego lidera i wraz ze swym bratem założył zespół o nazwie „Traffic”.

Pisałem przed chwilą o „I Am A Man”. Nieco później przebiła się na szczyty brytyjskich list przebojów piosenka, której narrator twierdził, że nie jest mężczyzną, ale chłopcem — „I Am A Boy”. To jeden z pierwszych hitów nowej grupy The Who. Będzie ona w przyszłości jednym z bardziej znaczących ansambli prezentujących m.in. interesującą rock-operę „Tommy”. Osobny rozdział stanowią The Hollies (notabene gościli w Polsce, śpiewali i grali także w Łodzi, w Pałacu Sportowym, wspólnie z zaczynającą wtedy światową karierę piosenkarką — Lulu). Ich utwory miały z reguły bardzo prostą linię melodyczną, lecz zawsze można było zachwycić się pięknym wielogłosowym wocalem. I jeszcze „Kinks!” czyli supelki, węzki, a nie „królowie”, jak sądził niektórzy znający nazwę tylko ze słyszenia i nie zagląający do słownika. Bracia Ray i Dave Davies (żadna rodnina z poprzednimi) wraz ze swymi kolegami pozostawali mimo wszystko w cieniu innych grup, choć zasługiwali (sądząc na przykład po znakomitym „Sunny Afternoon” z 1966 roku) na miano jednej z czołowych. The Kinks nie zapisałi się niestety w „wielkiej” historii.

Były też w owym czasie zespoły, które podbijały słuchaczy jednym rewelacyjnym nagraniem, a potem — powtarzali sukces wielokrotnie albo nie. Do tych pierwszych należała grupa The Move — trafiła do słownictwa w dziesiątkę nagraniem „Night Of Fear”, a następnie z różnym skutkiem próbowała nawiązywać do debiutanckiego osiągnięcia (np. „Blackberry Way”). The Troggs to w gruncie rzeczy zespół-efemeryda, na którego konto zapisać trzeba przynajmniej trzy szlagierowe utwory: „I Cant Control Myself”, „The Night Of Long Grass” oraz najwcześniejszy — „A Girl That I Like You”.

Ten ostatni, podobnie jak i wiele innych przebojów tego okresu, znakomicie w jednej ze swych wiązań sparodiował zespół The Barron Knights. Ci dość nietypowo wyglądający na fotografiach muzycy z powodzeniem grali również oryginalną muzykę opierając się na big-beacie. Nieco inną muzykę uprawiała formacja The Artwoods, która występowała też w naszym kraju. Niestety, w

wyniku kolejnego kryzysu kasowego rozpadła się, a jej duchowym przywódcą — organista John Lord — wszedł w skład dużo bardziej znanej Deep Purple.

Nie będę ukrywał, że jednym z moich ulubionych zespołów powstałych (a i rozwiązanych) w latach sześćdziesiątych było trio w składzie: Eric Clapton (gitarą), Jack Bruce (gitarą basową) i Ginger Baker (perkusją), przy czym wszyscy śpiewali i komponowali. Oczywiście, chodzi o The Cream — grupę, która przez parę zaledwie lat istnienia zaznaczyła się na tydzień brytyjskiej, i nie tylko, muzyce rozrywkowej, iż wspomina się ją do dzisiaj, mimo że już na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych rozbitkowicie z tej formacji założyli supergrupę pod nazwą „Blind Faith”. Skończyło się na doskonałych planach, a każdy z genialnych muzyków poszedł własną drogą. W kontekście zespołu Cream wspomnieć chcę o jeszcze jednej grupie złożonej z profesjonalistów — „Them” — bowiem właśnie ona do perfekcji opłoniła ówczesną muzykę gitarową i praktycznie bez solidnego przygotowania mogła zagrać wszystko.

Pozostają teraz co najmniej dwa ansamble angielskie, o których pisząc ten materiał nie mogę nie wspomnieć. Pierwszy z nich to Moody Blues, a drugi — Fleetwood Mac. Jeden przez całe lata prezentował znakomitą formę, a drugi w zakresie form instrumentalnych był nie do pokonania.

Rzecz jasna, muzyka ta przeżyła z Wysp Brytyjskich za Atlantyk dzięki — choć nie tylko — grupie The Beatles. Amerykański impresariat, jak oświadczył, znalazł odpowiedź dla „Biletsów”. Stał się nią czterozobowy zespół wyłoniony w wyniku ogólnokrajowego plebiscytu. Wybrafców nazwano The Monkees i zafundowano im jeden przebój „I'm A Believer”. Trudno w to uwierzyć, ale wszystko skończyło się fiaskiem.

Zupełnie odwrotnie niż w przypadku innych zespołów działających na terenie Ameryki Północnej: Jefferson Airplane, Lovin Spoonfull, Doors czy wreszcie Mothers Of Invention Franka Zappya. Wszystkie one miały spory wpływ na rozwój muzyki rozrywkowej na świecie w ogóle. Czy to wszystkie warte odnotowania zespoły? Na pewno nie. Ale ja już w tytule zastrzegłem się, że dziś trudno je wszystkie spamiętać.

Przed mocnym uderzeniem

nych. Niemożliwością jest przesłuchanie ich „w naturze”. Kiedyś Irek Kowalewski — jeden ze współorganizatorów — próbował to zrobić. Poświęcił miesiąc czasu i przesłuchał zaledwie połowę zespołów. Trzeba było wrócić do kaset. Poza tym jednoosobowe przesłuchanie może być nieobiektywne. A z kolei niemożliwe jest ściganie do Łodzi na cały miesiąc Marka Niedzwiedzkiego i innych członków jury. Dlatego przesłuchujemy taśmy. Ale, proszę mi wierzyć, jeśli zespół przedstawia jakąś wartość, jury wyluskuje go niezawodnie.

Obecnie zbieramy kasety. Przesłuchanie odbędzie się w drugiej połowie listopada.

— Nie za późno?
— Nie. Zespoły zakwalifikowane zawiadamiamy natychmiast. Nie zdarzyło się jeszcze, by kogoś pominięto, czy zbyt późno zawiadomiono. Zresztą zainteresowani szturmują codziennie z zapytaniem: czy już? czy jury wydało werdykt?

— A strona organizacyjna Przeglądu?
— Głównym organizatorem Rockowiska jest łódzki oddział PSJ. On też ponosi największe koszty przy organizowaniu Przeglądu. My nie byłibyśmy w stanie udźwignąć tych ciężarów. Ale dzięki sympatycznym kontaktom, jakie kilka lat temu nawiązaliśmy z Maciejem Jaworskim i jego współpracownikami jest to możliwe. Pomagamy sobie zresztą nawzajem. CKW ma na przykład plastyków, którzy robią dla PSJ niektóre elementy propagandowe.

Jeżeli chodzi o przygotowanie budynku Centrum do Przeglądu, to nie spodziewam się większych trudności. Zespół nasz jest niewielki, ale za to doświadczony. Przygotowanie sali widowiskowej do koncertu zajmie nam może ze dwa dni. Najcięższą pracą będzie wyniesienie wielkich donic z kwiatami. Jest ich tu sporo, a nie możemy pozwolić, by zostały uszkodzone.

— Właśnie! Czy przewidujecie jakieś kłopoty z publicznością, która przecież bardzo żywiołowo reaguje na koncertach.
— Niespecjalnie. Poprzednie Przeglądy były spokojne. To, że podczas koncertu młodzież skacze, klaszcze i śpiewa wraz z zespołem, to po prostu taki styl bycia. Żadnych chuligań-

co. Będzie to rodzaj garderoby. Poza tym finaliści otrzymają od organizatorów znaczki identyfikacyjne, karty wolnego wstępu na wszystkie koncerty i inne takie drobne pamiątkowe. Zwycięzcy, oczywiście, dostaną nagrody.

— Jak to?
— Na razie niech to będzie tajemnica. Pewne sprawy trzeba jeszcze donowić, więc nie chciałbym uprzedzać faktów. Ogłosimy w tej sprawie oficjalny komunikat.

— Czy przewidujecie jakieś dodatkowe atrakcje?
— Zwykle gwiazdą programu jest występ jednej z najmłodszych grup rockowych, najczęściej wschodzącej gwiazdy rocka. Dwa lata temu była to Republika. Jednak dla fanów rocka największą atrakcją jest sam Przegląd. Impreza staje się z roku na rok coraz atrakcyjniejsza.

— Bilety na imprezy rockowe są z reguły bardzo drogie. Jakie ceny obowiązują u was?
— Przegląd nigdy nie był imprezą dochodową. Gdybyśmy chcieli to zrobić, bilety na pewno osiągnęłyby cenę kilkuset złotych. Ale my zajmujemy się upowszechnianiem kultury, więc staramy się, by ceny biletów nie przekraczały możliwości młodzieży. Musi to być impreza dostępna dla wszystkich. Dlatego ceny biletów nie przekroczyły sumy 100 złotych. Już od kilku lat cena nie ulega zmianie. Moglibyśmy ją wręcz podnieść, bo przecież wszystko wokół drożeje, ale nie chcę, by zarzucano mi, że nabijam sobie kabzę kosztem młodzieży. Wprawdzie potentatem finansowym to ja nie jestem, ale stać mnie na to, by zorganizować imprezę dla szerokiej publiczności, tania a interesująca impreza. Zresztą, taka jest rola placówek upowszechniania kultury.

— Życzę powodzenia i dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał:
STEFAN JÓZWIĄK

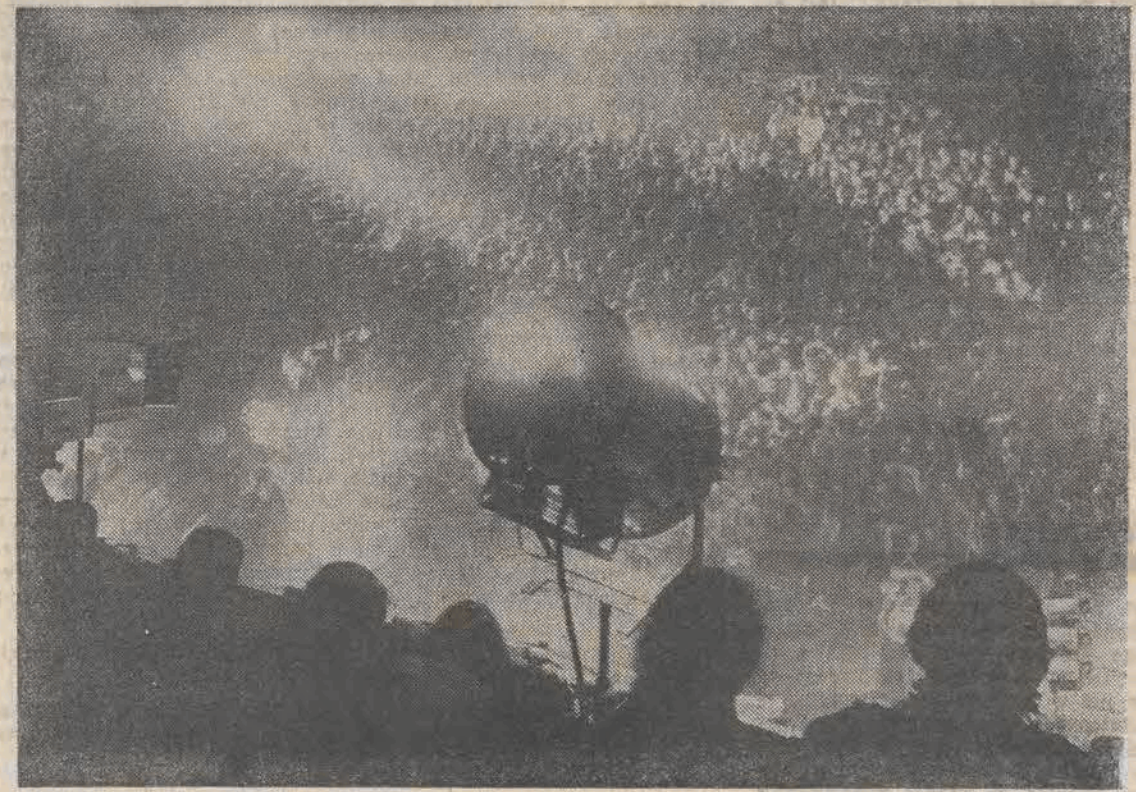


Foto: Mirosław Zajdler

Tygrysy zabijają ludzi

W 10 lat od chwili swojego początku „Akacja Tygrys” — największe w Indiach przedsięwzięcie na rzecz ochrony fauny — napotyka wyjątkowy problem wręcz alarmującego sukcesu. Rozmnożenie się niedużo malejącej populacji tygrysów spowodowało, że we wszystkich rezerwach indyjskich jest tych zwierząt za dużo. Teraz tygrysy zabijają ludzi i bydło. A nawet — w zażartych bojach o teren łowów — zagryzają jedynego drugiego. Tysiącom wsi położonych na obrzeżach rezerwatów leśnych i parków narodowych, powodzenie akcji — która przyniosła w ostatnich latach więcej niż podwojenie ilości tygrysów — dało ofiary w ludziach i bydło. Tylko w zeszłym roku tygrysy zabiły ponad 150 osób i 10 tys. szt. bydła. W Parku Narodowym imienia Jima Corbetta — najstarszym w Indiach rezerwiecie drabli zwierząt — gdzie panował przed 10 laty sainsaugurawa „Akacja Tygrys” — liczba tych bestii zwiększyła się o 44 w 1972 r. do 91 w 1982 r. Ów Park Narodowy ma 404 km kw. terenów leśnych. Tak więc każdy tygrys musi żyć na obszarze zaledwie 4,4 km kw. czyli dużo mniejszym, niż przypisano 14 km kw. Tygrysy są szalenie zazdrośni o swój teren. I kiedy tygrysy przybywa, szacunkowo zabijają siebie.

W ostatnim trzyleciu w Parku Narodowym imienia Jima Corbetta zginęło w nich 18 tygrysów i 1 tygryscica. Chłopi z okolicznych wioseł opowiadają o wielogodzinnych nocnych walkach tygrysi. Brak terenów w rezerwiecie zmusza zwierzęta do przemierzania się na obszary pobliskich wsi. W ubiegłych 2 latach zginęło tam co najmniej 20 ludzi. W Parku Narodowym w sąsiednim okręgu Duhwa w ostatnich 3 latach poniosło śmierć 125 osób. A tygrysy zdają się łaknąć ludzkiego mięsa. Krają wokół domów wypoczynkowych dla turystów, czyhając na zabójcę. I napadają w odległości 10 do 20 kroków od budynków, gdzie mieszka personel ośrodka.

Ponoć największy problem z tygrysmi pożerającymi ludzi istnieje w lasach Sunderbans w Bengalu Zachodnim. Według nadchodzących wiadomości, tygrysy zabijają tam 100 osób rocznie. Odsetek tygrysów, które upodobały sobie mięso ludzkie wzrasta w miarę, jak w rezerwach „Akacja Tygrys” przynosi coraz większe sukcesy. Tygrysy stwarzają też stałą groźbę dla stad bydła. Jest to nieustająca plaga dla wsi wokół rezerwatów. Corocznie tysiące chłopów w tych wsiach popada w nędzę. Wprawdzie rządy różnych stanów Indii przyznają odszkodowanie pieniężne tym, których krewnych lub bydło zabiły tygrysy, ale chłopci skarżą się, że wypłaty są zbyt niskie i dokonywane z dużą zwłoką. Większość chłopów mówi z gorzycą o rządowej akcji ocalenia tygrysów kosztem biednych mieszkańców wsi. W zeszłym roku tysiące wieśniaków demonstrowało w pobliżu Parku Narodowego im. Jima Corbetta, domagając się zwrócenia akcji. Shiv Singh, sółty w wsi Mahan — z której w tym roku tygrysy porwały do lasu trzech ludzi — mówi: „Będzie rewolta, jeśli rząd nadal będzie uparcie urzędownie śmiecił akcję”. W czerwcu br. mieszkańcy tej wioski wnieśli do Indyjskiego Sądu Najwyższego skargę, która zmusza urzędników prowadzących „Akację Tygrys” oraz rządowi panu Gandhi mordowanie mężczyzn, kobiet i dzieci.

(„THE GUARDIAN”)

ODGŁOSY 13

Przed 40 laty, na początku słonecznego września wszyscy — oprócz samych Włochów — wiedzieli, że będąca w kresu sił Italia przygotowuje się do opuszczenia walczących stron, a być może nawet zmiany frontu. Mussolini, aresztowany 25 lipca po słynnym głosowaniu na forum Wielkiej Rady Faszystowskiej przebywał nadal w miejscu odosobnienia. Zastąpił go stary marszałek Badoglio, który obawiał się, że wojna trwa nadal. Jednakże 3 września w Cassibile, na brzegu „morza koloru wina” oblewającego Sycylię, pod wojskowym namiotem włoski generał Castellano, który przyczynił się do upadku Duce, podpisał z wyznaczonym przez Eisenhowera generałem Smittem umowę wojskową („małe zawieszenie broni”), a sam Eisenhower asystuje przy tej krótkiej ceremonii.

NIGDY NIE SKAPITULUJEMY

Przez cały sierpień, chcąc „zmieknąć” Włochy i skłonić je do decydującego kroku, bombardowano zaciekle włoskie miasta i miasteczka. Ludność już tego nie wytrzymała. Niemcy, rozwścieczeni aresztowaniem „przyjaciela Fuehrera”, mieli już w szufladzie z pół tuzina planów zastąpienia drogi umykającego sojusznikowi: od aresztowania króla przez Hitlera aż do uwolnienia Mussoliniego. Ta ostatnia operacja miała się zresztą zakończyć sukcesem.

W głębi duszy Włosi byli przerażeni spodziewaną reakcją na ich odstąpienie. Starali się więc uspokoić sojusznika — wroga przy pomocy przysięg wierności. Minister pełnomocny Rzeszy, Rudolf Rahn, który przybył do Rzymu 30 sierpnia, aby zastąpić ambasadora, spotyka się z Badoglio. W swych pamiętnikach opisuje marszałka jako „włoskiego Petain’a, podobnie, jak tamten dźwigającego swe sędziwe lata ze spokojnym dostojęstwem, mężczyzną o jasnoniebieskich oczach patrzących uważnie wprost na rozmówcę, o cerze świetłej i różowej”. Sukcesor Duce ścisnął rękę dyplomaty. „Z patosem — pisze Rahn — który nie wydawał się całkiem naturalny, powiedział do mnie: jestem jednym z trzech najstarszych w Europie marszałków, daję słowo i słowa do trzymam...”

Również król przyjął Rahn’a, oświadczył mu: „Proszę przy-

pomnieć Fuehrerowi, że Włochy nie skapitulują nigdy!”.

A jednak Włochy właśnie to zrobiły, płacąc się w samą cześć i terminów. Allianci, niezmiernie podejrzliwi wobec Rzymu, oświadczyli, że ładowanie i proklamowanie zawieszenia broni powinny nastąpić równocześnie. Planowali oni operację desantową w pobliżu Rzymu, lecz dowódca korpusu pancernego stolicy, generał Carboni, zapewnił ich — kłamliwie i z pobudek najprawdopodobniej małodusznych — że lotniska na tym terenie są w rękach Niemców. Ładowanie miało nastąpić w Salerno, na południe od Neapolu. Włosi nie oczekiwali go przed 12 września.

NIESAMOWITY BAŁAGAN

Chcąc zapobiec ewentualnym nieporozumieniom, amerykański generał Maxwell Taylor w towarzystwie oficera do specjalnych poruczeń udaje się po-

stać w rękach dokument z napisem podpisanym i taśmą filmową z całej ceremonii w Cassibile w obecności Eisenhowera i Alexandra? A wy mieliście czelność oświadczyć, że to wszystko fałszerstwo?”. Postawiono więc, że Badoglio oznajmi nowinę.

O godzinie 19,30 marszałek ubrany po cywilnemu, udaje się do studia radiowego i wygłasza tam przemówienie, które jest następnie nadawane co 15 minut. Rząd włoski — mówi Badoglio — uznając niemożność kontynuowania nierównej walki z przytłaczającą potęgą przeciwnika i pragnąc oszczędzić narodowi nowych, straszniejszych nieszczęść, poprosił generała Eisenhowera o zawieszenie broni. W konsekwencji siły włoskie powinny wszędzie zaniechać jakichkolwiek aktów wrogości wobec oddziałów alianckich. Będą natomiast reagować na ewentualne ataki, bez względu na to, skąd mogłyby one pochodzić.

Jest to oczywiście aluzja do Niemców. Trzeba tylko przekształcić ją w konkretne dy-

ktę pytania: Mój Boże, na którym też drzewie miałe powieszkać? W nocy uciekinierzy wędrują na pokład korbety „Batonia”, aby odpłynąć do Brindisi.

Ciągłość władzy państwowej jest więc zapewniona, ale w jakich warunkach? Nikt nie pozostawił żadnych dyspozycji. Osiemdziesiąt dywizji włoskich, pozostawionych własnemu losowi, zostaje w ciągu trzech dni zmiecionych przez rozswięcone wojska niemieckie. Dla ludności ta klęska jest czymś w rodzaju „czerwca 1940 na modłę francuską”. Rzesza ma bowiem środki, aby ukryć „zdradę”: wprawdzie 25 lipca dysponowała na terenie Włoch zaledwie sześcioma dywizjami, lecz od tego czasu sprowadziła ich tam dodatkowo dziesięć tysięcy. W swym dzienniku Goebbels notuje: „Fuehrer jest zdecydowany zmieść wszystko z powierzchni ziemi we Włoszech”.

Dowodztwo włoskie po prostu rozwiązało się. 9 września o godzinie 6,30 generał Uffizi odczytuje następujący tekst, jeden z najważniejszych w analogiach wojskowych: „Przypad-

„Czarny wrzesień” we Włoszech

mi w udziale bolesny obowiązek oznajmienia o czasowym rozwiązaniu sztabu. Niech każdy wraca do siebie, rzuci mundur i myśli o własnym bezpieczeństwie”.

Jednakże istniał najciszej tajny rozkaz przygotowany pod koniec sierpnia pod kryptonimem „Memoria OP 44” — „na wypadek agresji niemieckiej”. Dziesięć egzemplarzy napisanych na maszynie, na papierze bez nagłówka i w obawie przed przechwyceniem zostało powierzonych podpułkownikom, którym polecono odczytać tekst dowódcy największych jednostek, a następnie spalić. Była to procedura tak przedziwna, że na Sardinii generał Basso kazał wrzucić do więzienia oficera, który przyniósł tę instrukcję, biorąc go za prowokatora!

Administracja cywilna jest w całkowitym rozkładzie. Minister spraw wewnętrznych, Ricci, któremu Badoglio powierzył tymczasowe rządy w Rzymie, nie wie nawet, czy król udał się na północ czy na południe, nie ma instrukcji na piśmie i... ustępuje z funkcji. Generał Roatta odmawia organizowania obrony stolicy. Generał Carboni, odpowiedzialny za wojska korpusu rzymskiego, dowiedział się o wyjeździe rządu, przebiera się w cywilne ubranie i znika na dłuższy czas. W pustych biurach rozpaczliwie dzwonią telefony.

Dowódca naczelny w Albanii usłyszał z ust wiceministra wojny, Sorice, że zawieszenie broni to „niecne oszczerstwo”. Krzyżują się sprzeczne i bezsensowne rozkazy. Tak np. dowódca korpusu w Zara wydaje polecenie, aby „przepuszczać Niemców, jeżeli grzecznie poproszą, o pozwolenie, a w przeciwnym wypadku odpowiadać siłą, unikając przy tym jakiegokolwiek rozlewu krwi”.

SZTAB ZOSTAJE ROZWIĄZANY

Sztab generalny na czele z Ambrosio, szefowie sztabów trzech armii, większość ministrów — wszyscy ruszają w drogę. Kolumna samochodów jedzie nie zatrzymywana przez nikogo, ale Badoglio sam opowiada później, że mijając oddziały niemieckie zadawał so-

rektywy. Te jednak nie zostaną nigdy wydane, bowiem naczelny dowództwo wkrótce się rozpadnie, bądź też da drapak.

W istocie rzeczy sprawą pilną jest zapewnienie królowi, którego osoba reprezentuje prawną władzę, schronienia przed nazistowską kontrofensywą. Jednakże ten odwrót przybiera postać ogólnej, panicznej ucieczki na łeb na szyję. Badoglio budzi króla w nocy z 8 na 9 sierpnia i cała rodzina królewska opuszcza rezydencję w Villa Savoia, udając się do pałacu kwirynalskiego, a następnie do gmachu ministerstwa wojny. W ponurych apartamentach służbowych Wiktor Emanuel cywilnemu, ze skórzaną tekturą w ręku, siada w kącie salonu wraz z królową Heleną, która czule otacza ramieniem jego szyję. I tak czekają na samochody.

Reakcja generalna na czele z Ambrosio, szefowie sztabów trzech armii, większość ministrów — wszyscy ruszają w drogę. Kolumna samochodów jedzie nie zatrzymywana przez nikogo, ale Badoglio sam opowiada później, że mijając oddziały niemieckie zadawał so-

MASAKRA W CEFALU

Zależnie od miejsca i od ludzi armia rozpięcha się, broni lub poddaje. Jest to przegromna, zawstydzająca tragedia, której nie brak przejawów bohaterstwa. W Rzymie, gdzie Niemcy atakują 8 września wieczorem dywizja Sassari i pułk Montebello, wspierane przez około 1000 cywilów, stawiają zacięty opór, ponosząc ciężkie straty. W Neapolu, który przeżył 110 nalotów bombowych, mieszkańcy buntują się, podczas gdy Niemcy rozstrzelują i podpalają. Generał Gonzaga, dowódca dywizji na wybrzeżu, wzięty na muszkę pistoletu woli zginąć niż wydać rozkaz przebieżania Niemców. Ale w Wenecji sześciotysięczny garnizon poddaje się... czterdziestu SS-owcom.

Najkrwawsze dramaty rozgrywały się poza terenem półwyspu. W Cefalu dowódca dy-

Arystokrata czy plebejusz

Kiedy czytamy imię i nazwisko Franz Radziwiłł, dokonujemy podświadomie spolszczenia na Franciszka Radziwiłła, nie wątpiąc przecież ani przez chwilę, że chodzi o kogoś ze znanej książącej rodziny. A skoro tenże okazuje się obywatel niemieckim od urodzenia, nie zaś emigrantem z nowszych lat, dopuszczamy oczywiście możliwość, iż jeśli nie on sam, to któryś z jego przodków uległ zmniejszeniu, iżwilić się można tylko, iż w konserwatywnym i dającym atencję arystokratów społeczeństwie Republiki Federalnej Niemiec, tak łatwo wyrzekł się on arystokratycznego tytułu. Jeśli nie Prinz lub Herzog, to niechby chociaż Graf lub Freiherr nie mówiąc już o skromniejszym „von”. Ale — nic z tych rzeczy.

Jak się bowiem dowiadujemy, zmarł ostatnio w Wilhelmshaven w wieku 88 lat „zwyczajny” Franz Radziwiłł, zaliczany do przedstawicieli najsłynniejszego w malarstwie, znajdującego upodobanie w tematach o scenach niezwykłej, budzącej niepokój i grozę. W 1933 r. hitlerowcy powierzyli mu profesurę w Akademii Sztuk Pięknych w Düsseldorfie, na miejsce wygnanego Paula Klee, najsłynniejszego bodaj niemieckiego malarza XX wieku, aby po jakimś czasie wycofać poparcie dla jego osoby i nawet zakazać mu urządzania wystaw. W ostatnich latach sędziwy malarz zanęcał pracy twórczej z powodu niemal całkowitej utraty wzroku.

Ale jako punkt tej całej historyjki podajemy do wiadomości, iż Franz Radziwiłł architekt z wykształcenia, rozpoczął karierę życiową jako zwykły murarz, a był synem drobnego rzemieślnika. A więc żaden zdeklasowany arystokrata, tylko plebejusz z dziada pradziada. Może i tak...

J. K.



(„LE MONDE”)

W kręgu fantastyki

Boję się. Bardzo się boję. Nie, nie o siebie. Jestem już słaby i mam na karku 66 lat. Boję się o was, o każdego, kto ma jeszcze życie przed sobą. Boję się, bo mam wrażenie, że wokół nas dzieje się ostatnio jakieś dziwne rzeczy. Czasem niektórzy z nas coś zauważa, porozmawiają o tym między sobą i szybko zapomną. A jestem pewien, że jeśli zaczęli się nad tym zastanawiać, to większość z nas nie będzie w stanie uwierzyć w to, co się dzieje. Zresztą, oceńcie sami.

W ubiegłym roku, któregoś zimowego wieczoru, wróciłem do domu z klubu szachowego. Jestem wdowcem. Mieszkam sam w małym, ale przytulnym mieszkaniu przy 5 Alei. Było jeszcze dość wcześnie. Zapaliłem lampę stojącą przy fotelu i podjąłem lekturę kryminału, który akurat czytałem. Włączyłem radio i zaczęło grać, ale zwróciłem uwagę na jakąś stację było nastawione. Lampy powoli rozgrzewały się. Z głośnika słychać było jakąś melodię grana na akordeonie. Po początkowo cichą, potem głośniejszą. Żeby nie przeszkadzała, ściszyłem nieco radio i zacząłem czytać.

Chcę opowiedzieć wam dokładnie, jak to było. Nie twierdzę, że zwracałem na radio jakąś szczególną uwagę. Ale zauważyłem, że kiedy muzyka uciicha rozległy się okłaski. Potem jakiś męski głos powiedział: „Tak tak” ale okłaski trwały jeszcze dobrą chwilę, w czasie której słychać było ów roześmiany głos, który w końcu powtórzył stanowczo swoje „Tak” i okłaski uciichały. „Gras Aleksander Jakistam” — powiedział ów głos — a ja wróciłem do przerywanej lektury.

Wkrótce jeszcze raz usłyszałem ten sam głos — może zmiana jego tonu, gdy podjął nowy wątek zwróciła moja uwaga. „A teraz” — mówił — „wystąpi panna Ruth Greiley z Trenton w stanie New Jersey. Panna Greiley gra na fortepianie, czy tak?” Zawieszony zdziwiony głos odpowiedział cichutko: „Tak, panie Bowes”. Męski głos, dopiero teraz pozmienił go, spytał: „Co nam zagrasz?” Dziewczyńska odpowiedziała „La Paloma”. Mężczyzna powtórzył tytuł, już jako zapowiedź „La Paloma”. Chwila ciszy i usłyszałem pierwsze akordy fortepianu. Znowu zająłem się lekturą.

Dziewczyńska grała, a ja na pół świadomie rejestrowałem mechaniczny styl jej gry, błędy wtytnu — była chyba zdenerwowana. Moja uwaga zwróciła do siebie nagły głos gongu. Dziewczyńska zagrała niewinnie jeszcze parę taktów, wahając się, co ma zrobić. Gong znowu zahuczał, gra urwała się nagle i słychać było tylko sucher zanienajęci widowni. „Tak, tak!” powiedział znajomy już głos i usłyszałem siebie, że czekałem na te słowa, wiedziałem, że powie właśnie to. Publiczność uciicha, a głos zaczął: „Teraz...”

Właśnie wtedy, kiedy słyszałem ten głos, zwróciłem uwagę na radio. Właśnie wtedy, kiedy słyszałem ten głos, zwróciłem uwagę na radio. Właśnie wtedy, kiedy słyszałem ten głos, zwróciłem uwagę na radio.

JACK FINNEY

Strach

wczoraj zmalowałem. Ktoś starannie zmył dwudziestocentymetrowy pasek świeżej farby. Komu do licha chciało się nie tak męczyć? Naprawdę, nie rozumiem! Czy jest coś wspólnego między tą historią a moim zdarzeniem? Zastanawiam się, co w obu przypadkach wydarzyło się coś, co na chwilę zakłóciło bieg wydarzeń w czasie. Wygląda na to, że tak właśnie było w moim przypadku: przez kilka minut styzałem audyjo nadana wiele lat temu. Zauważyłem, że nikt z wyjątkiem pana Trachnora nie dotykał się jego domu, że on sam pomalował go w październiku i z jakichś nieznanych powodów nowo nałożona farba pojawiła się na budynku jeszcze przed jego pomalowaniem. Ponieważ wtedy Trachnor zmył świeżą jeszcze farbę, jesienią, po pomalowaniu, zabrakło

tem powiedziała stanowczo: „To był ten sam pies. Jeśli się kiedyś miało psa, to zawsze się go pozna. I zapomniał pana, to był ten sam pies. I czy to brzmi dziwnie, czy nie — mój pies zgiął się — wyginał go — dwa lata przed jego urodzeniem”.

Zaczęła cicho płakać. „Pewnie myśli pan, że jestem sentymentalną idiotką, ale myśli się pan — wytarła łzy chusteczką. — Jestem taka jak inni ludzie. Różni się od nich tylko tym, że wiem coś, z czego oni nie zdają sobie sprawy”.

I właśnie wtedy, siedząc w małym, nieprzytulnym saloniku panny Eisenberg zdałem sobie sprawę, że konsekwencje tych pozorów drobnych spraw są o wiele poważniejsze niż dotąd myślałem. Ba, mogą okazać się wręcz tragiczne. Wtedy zacząłem się bać. Ostatnie 11 miesięcy spędziłem na wynajdowaniu i śledzeniu tych dziwnych wydarzeń. Zdumiewa mnie i przeraża, jak wiele ich jest. Zdumiewa mnie i przeraża, że zdarzają się obecnie coraz częściej — sam nie wiem, jak to powiedzieć — że z coraz większą siłą wpływają na ludzkie losy, tragicznie je gnawiając. Oto przykład, wybrany na chybił — trafił, ukazujący rosnącą intensywność tego czegoś, co dzieje się na świecie.

Sprawa nr 72. Porucznik Alfred Eichler, Nowojorski Oddział Policji, lat 33.

Późnym wieczorem 9 stycznia 1956 roku na ścieżce prowadzącej do Central Parku z wschodniej dzielnicy znaleziono rewolwer, z którego wyszło jedno naboje. W laboratorium policyjnym zrobiono odciski palców i przeprowadzono analizę balistyczną. Sprawdzono odciski palców w kartotekach. Należały do mężczyzny, który miał już na koncie jakiś napad.

Jak zwykle w takich przypadkach, wydano rozkaz zatrzymania podejrzanego. Wysłano detektywa do mieszkania, które podlegało wynajmowi, ale nie zastał nikogo, a że nie było ostatnio meldunków o strzelaninie, więc nie szukano go tej nocy zbyt intensywnie.

Następnego wieczora z tego właśnie pistoletu zastrzelono człowieka. Badania balistyczne nie zostawiły cienia wątpliwości. Wkrótce udało się ustalić, że denat pokłócił się z kolegą w pobliskiej knajpie, z której wyszli razem, obaj pijani. Policja zatrzymała mężczyznę, który okazał się być właścicielem rewolweru znanego poprzedniego wieczora w Central Parku.

„To nieprawdopodobne, żeby denat zabił z tej właśnie broni — mówił porucznik — ale tak właśnie było. Proszę nie pytać, jak to możliwe. Jeśli ktoś myśli, że skierowaliśmy sprawę do sądu, to chyba jest szalony”.

Sprawa nr 111. Kapitan Hubert V. Rihm, Nowojorski Oddział Policji, na emeryturze, lat 66.

Z kapitanem umówiłem się w Parku Stuyvesant, prawie zlewni drewnianych ławek i asfaltu otoczonej przez miasto, poniedziałek 2 ulicy. Interesuje pana sprawa Fentza? — spytał zaraz po przywitaniu się, kiedy usiedliśmy na ławce. „Wiem opanowem panu, chociaż nie lubię o tym mówić. Sprawa dotyczy mnie osobiście. Chciałbym dowiedzieć się, co pan sądzi o tym wszystkim?”. Był wysokim, tegawym mężczyzną, o czerwonej, nieustępliwie twarzy. Miał na sobie starą policyjną marynarkę i czapkę, z której zdjęto policyjny znaczek.

Byłem w kostnicy miejskiej w Bellevue — zaczął, kiedy wyjąłem notes i ołówki — około 12 w nocy. Piłem kawę z zatrudnionym tam kumpiem. Było to w czerwcu 1955 roku, tuż przed moim przejściem na emeryturę. Pracowałem wtedy w sekcji osób zaginionych. Wtedy właśnie przyzniesi tego faceta. Wyglądał komiznie. Młody gość, około trzydziestki, z dużymi bokobrodami. Ubrany był dosyć dziwnie. Przez 30 lat służby widziałem wielu dziwnych facetów — pamiętam, że kiedyś znaleźliśmy jakiegoś Araba w stroju królewskim. Przez cały tydzień głosiliśmy się, kto to może być. Wtedy chyba nie wyglądał tego faceta tak mnie zdziwił, ale raczej to co znaleźliśmy w jego kieszeniach”.

Kapitan Rihm umilkł na chwilę, żeby sprawdzić, czy zainteresowały mnie jego słowa i po chwili ciągnął dalej. „Miał w kieszeniach trochę drobniaków — coś około dolara. Jeden z chłopaków wziął 5 centów i pokazał mi. Każdy widział takie monety. Albo to nowe, z portretem Jeffersona, takie błyszczące, albo te stare, ze Statuą Wolności. Przestał je bić jeszcze przed I wojną światową. Ale ta moneta była jeszcze starsza. Na awersie miała herb Stanów Zjednoczonych, a na rewersie dużą piątkę. Widywałem takie monety jako mały chłopak. Najdziwniejsze jednak było to, że ta moneta wyglądała jak nowa, jakby zrobiona ją zaledwie wczoraj. Miała datę 1876 — zresztą żadna ze znalezionych w jego kieszeni monet nie

była wybita później”.

Kapitan Rihm spojrział na mnie pytająco: „Tak, to całkiem możliwe” — powiedziałem spoglądając do moich notatek. „A pewnie, że możliwe — odparkł zadowolony. — Tyle że wszystkie drobniaki, które znaleźliśmy, miały na awersie profil Indianina. Widział pan ostatnio takie monety? Znaleźliśmy też srebrną trzycentówkę. Wyglądała jak stara dziesiątka, tyle że srebrna i trochę mniejsza. Banknoty, które znaleźliśmy w portfelu, wszystkie bez wyjątku były stare, jeszcze te dużego formatu”.

Kapitan Rihm splunął na ścieżkę resztką tytoniu, wyrażając w ten sposób zaniepokojenie i pogardę policjanta dla wszystkich, co łamie ustalone porządki. „Miał razem ponad 70 zielonych, w tym ani jednego banknotu z rezerwy federalnej. Znaleźliśmy dwa banknoty dziesięciodolarowe, takie żółte, pamięta je pan? Płacono za nie złotem. Reszta to były stare banknoty banku narodowego. Właśnie pan, te wydane przez lokalne banki. Podpisywał je osobiście szef banku. To te, które tak często fałszowano”.

„No i — kapitan poprawił się na ławce, złożył nogę na nogę i ciągnął dalej — w kieszeni miał rachunek ze stajni na Lexington, 3 dolary za siano dla konia. Mylicie i porządkowanie powozu. Znaleźliśmy też mosiężny zegon, za jaki można było dawniej kupić piwo w niektórych barach. W portfelu miał list ze stemplem Filadelfii i datą Czerwiec 1876, ze starożyteckim znaczkiem za dwa centy i parę biletów wzytowych. Wzytówki miały wydrukowane jego imię i nazwisko, list też był adresowany do niego”.

„Wiem — zauważyłem trochę zdziwiony — od razu go zidentyfikowałeś?”.

„Bez żadnego problemu, Rudolf Fentz. Mieszkał w Nowym Jorku, gdzieś na 5 Alei, nie pamiętam numeru — Rihm znowu pochylił się i splunął. — Tyle że pod tym adresem nie ma domu mieszkalnego. Od lat jest tam jakiś sklep, w którym nikt nie sprzedał o Rudolfa Fentzu. Jego nazwisko nie figuruje też w książce telefonicznej. W Waszyngtonie nie mieli odcisków jego palców. Na piasku była naszywka firmowa krawca, którego zakład mieścił się na Broadwayu. Sprawdziłem, ale nikt tam o nim nie słyszał”.

„A co było takiego dziwnego w jego odzieży?”.

Kapitan spytał: „Czy widział pan kiedykolwiek kogoś, kto nosi wąskie spodnie w czarno-białą kratę, bez mankietów i bez kantów?”.

Musiałem się przez chwilę zastanowić. „Tak — powiedziałem — mój ojciec nosił takie spodnie w młodości, jeszcze zanim się ożenił. Widziałem na fotografiach”.

„Oczywiście” — dodał kapitan Rihm. — No i pewnie nosił do tego krótki żakiet z dwoma guzikami na plecach, kamizelkę z wylogami, wysoki cylinder, wielką, czarną kokardę zawieszoną na wysokim, sztywnym kołnierzu i kamizelkę”.

„Wiem — powiedziałem — jak to było ubrany ten jego...”.

„Jak 80 lat temu! A miał nie więcej niż trzydziestkę! Na cylindrze była nalepka sklepu z 23 ulicy, który przestał istnieć na początku tego stulecia. Rozumie pan coś z tego?”.

„Niewiele — odpartem ostrożnie. — Ktoś zadał sobie chyba wiele trudu, żeby ubrać się w stylu epoki. Zakładam, że monety i banknoty kupił w sklepie numizmatycznym — a potem dał się zabić w wypadku ulicznym”.

„Dał się zabić. Dokładnie taki Times Square o 11 wieczór. Ludzie wychodzą z teatrów — to chyba najruchliwsze miejsce świata. I ten facet pojawia się na środku ulicy. Gapi się na samochody i światła uliczne, jakby widział je po raz pierwszy w życiu. Policjant, który miał tam służbę, zauważył go w tym tłumie, więc może pan sobie wyobrazić, jak się musiał zachowywać! Światła zmieniają się, rusza potok samochodów, a on zostaje akurat na środku jezdni i, duren, zamiast poczekać, próbuje wrócić na chodnik. Potrafiła go przejeżdżająca taksówka. Zginął na miejscu”.

Przez chwilę kapitan Rihm siedział w milczeniu żując tyton i gapiąc się ze złością na jakąś młodą kobietę pchającą wózek z dzieckiem, ale jestem pewien, że nie widział jej. Młoda mama spojrziała na niego ze zdziwieniem, a on ciągnął dalej.

„Nie mogliśmy z tego zrozumieć. Śledztwo utknęło w martwym punkcie. Z przyzwyczajenia zacząłem szukać po starych książkach telefonicznych, ale nie liczyłem na żaden rezultat. W końcu, w wydaniu z 1939 roku znalazłem Rudolfa Fentza juniora, gdzieś na 55 wschodniej Ulicy. Wyprowadził się stamtąd w czterdziestym drugim, ale dozorca budynku powiedział mi, że miał kolo sześćdziesiątki, był już na emeryturze i pracował w banku parę domów dalej. Znalazłem ten bank. Powiedział mi, że przeszedł na emeryturę mając 40 lat i że zmarł 5 lat temu. Wdo-

wa po nim mieszkała razem ze swoją siostrą na Florydzie. Napisałem do niej. Dostałem od niej list, z którego właściwie niewiele się dowiedziałem. Nigdy nie zameldowałem o tym przy najmniej oficjalnie. Otóż ojciec jej męża znikł, kiedy jej mąż był jeszcze małym chłopcem. Któregoś wieczora około 10 wyszedł na spacer — żona nie pozwalała mu palić w syplalni, więc przed wyjściem spać wychodził na krótki spacer, aby wypalić ostatnie cygaro — i już więcej nie wrócił. Nikt go więcej nie widział, nie o nim nie słyszano. Rodzina wydała masę forsy na poszukiwania, ale nie znalazł się. To było około roku 1875 — starszuszka nie pamiętała dokładnej daty, mąż niewiele jej o tym opowiadał”.

„I to tyle — powiedział kapitan Rihm. — Kiedyś spędziłem całe popołudnie na wertowaniu starych raportów. W końcu znalazłem akta osób zaginionych za rok 1876 i, rzeczywiście, Rudolf Fentz tam był. Opis nie był dokładny i oczywiście nie było odcisków palców. Dałbym rok życia, żeby znaleźć te odciski. Pewnie bym lepiej zaczął sypiać, gdybym je znalazł. Zapisał sobie o 29-letnim mężczyźnie, z bokobrodami, w wysokim cylindrze, w ciemnym płaszczu, w spodniach w kratę. To było wszystko. Ani słowa o krawacie, kamizelce czy butach. Nazywał się Rudolf Fentz i mieszkał pod tym adresem na 5 Alei. Musiał tam być wtedy dom mieszkalny. Ostateczny zapis sprawy: nie odnaleziony”.

Nienawidzę tej sprawy — powiedział cicho Rihm. Nie cierpię jej. Dałbym wiele, żeby nigdy o niej nie słyszeć. A co pan o tym sądzi? — zapytał nagle mojej opinii. — Myśli pan, że facet wyparował w 1876, żeby objawić się w 1955?”.

Wzruszyłem ramionami, a kapitan zrozumiał ten gest jako przeczenie. „Pewnie, że nie — powiedział. — Jasne. Tylko proszę mi to jakoś wyjaśnić”.

Mógłbym pisać dalej. O setkach takich przypadków, 16-letnia dziewczynka wyszła rano z syplalni niosąc w ręku ubranie, które było na nią za duże, a ona sama robiła wrażenie 11-letki. Jest wiele przypadków zbył potwornych, żeby o nich pisać. Wszystkie wydarzyły się w Nowym Jorku w ciągu ostatnich paru lat. Przypuszczam, że tysiące podobnych spraw ma miejsce na całym świecie. Mógłbym mówić o nich dalej, ale przecieży cały problem streszcza się do pytania: co się właściwie dzieje i dlaczego. Wydaje mi się, że znam odpowiedź.

Czy nie zauważyliście w swoim najbliższym otoczeniu wstępującego niezadowolenia z dzisiejszych czasów? Coraz częściej tęsknimy za przeszłością. Tak, to prawda. Nigdy dotąd, w całym moim długim życiu nie słyszałem tak wielu ludzi mówiących: „Żeby się tak człowiek urodził wcześniej!” albo „Wtedy życie było prostsze” albo „To były inne czasy”, albo po prostu „W tych dobrych, starych czasach”. Nie słyszałem tego w czasie mojej młodości. Wtedy życie było wspaniałe! A co dziwniejsze, dzisiejsi ludzie też tak twierdzą.

Pierwszy raz w swojej historii człowiek tak desperacko chce uciec od swojej współczesności. Księgarnie zalana są literaturą eskaibistyczną — już sama nazwa brzmi znacząco. Całe pisma poświęcone są fantastyce i historii świata, o ucieczkach do innych światów, na inne planety, w przeszłość i przyszłość, byle gdzie, byle dalej od otaczającego nas świata. Tak, w świecie powszechnym jest pragnienie, niemal fizycznie odczuwalna straszliwa presja milionów umysłów, aby przetrwać się barierom czasu. Jestem pewien, że ta presja zaczęła już wywierać piętno na przepływie czasu. Na razie niezauważalne, niemal niezauważalne, jednak stałe, powoli narastające. W chwilach, w których zachodzący opisywane wydarzenia, owa powszechna chęć ucieczki była największa.

Człowiek uszkodził zegar czasu i boję się, że pewnego dnia pęknie sprężyna. Kiedy to już nastąpi, zostawiam waszej wyobraźni szalenstwo ostatnich godzin, jakie pozostaną, niezliczone chwile składające się na nasze życie zostaną rozdarte i chaotycznie skrzępa w czasie.

Moje życie dobiega kresu, zostanie pobawione najwyższej paru lat z tych, które mi jeszcze zostały. Ale przeraża mnie owa powszechna chęć ucieczki z tego świata, który przecież może nam dać sens istnienia, szczęście, bogactwo. Zwyjmy przecież na planecie, która daje szansę dostatecznego życia każdemu z nas. Dlaczego więc, do licha, nie chcemy tej szansy wykorzystać?

Skróty pochodzą od redakcji. Tytuł oryginału „I'm Scared”.

Tłum.: ANNA ZASTAWNIK



Rys. Krzysztof Wiczcerek

tego właśnie startego kawałka. Skłamałbym jednak, gdybym powiedział, że uwierzyłem w to, co usłyszałem. Było to jedynie intrygujące domysły. O obu tych historiach opowiadałem znajomym, traktując je jako swego rodzaju ciekawostki. Jestem człowiekiem towarzyskim, mam sporo przyjaciół, którzy czasami w odpowiedzi na moje historie opowiadał mi o innych, również ciekawych wydarzeniach.

Kiós kiwał głową ze zrozumieniem i mówił: „Przypomniał mi to zdarzenie, o którym niedawno słyszałem”, i miałem kolejną historię do mojej kolekcji. Pewien pan mieszkający na Long Island miał w piątek wieczorem telefon od siostry z Nowego Jorku, ale siostra twierdzi, że dzwoniła do niego dopiero w poniedziałek, trzy dni później. W oddziale banku na 45 ulicy pokazywano mi czek zdeponowany w przeddzień jego wystawienia. Na 65 wschodniej ulicy w Nowym Jorku dostarczono list wysłany 17 minut wcześniej z Green River w Wyoming.

Dwa lata później przyjaciółka poderwała pannę Eisenberg trzytygodniowego szczeniaka. „Moje mieszkanie jest stanowczo za małe na trzymanie psa, ale był tak uroczy, że postanowiłam nie oddawać go. Wyrósł na duże psisko, które jadło więcej ode mnie”.

Ponieważ okolica nie była ruchoła, a pies był posuszny, więc na wieczornych spacerach panna Eisenberg zwykle spuszczała go za smyczy, a on nigdy nie odchodził daleko. „Któregoś wieczoru, ostatni raz widziałam go, jak obwąchiwał coś parę bram dalej, zawałował go, ale nie przyszł. Więcej już go nie widziałem”.

„Wzduż naszej ulicy, po obu stronach stoi rząd domów, mają zawsze starannie zamknięte drzwi. Nie ma tu skwerów ani parku, więc nie mógł zginąć. A jednak znikł, choć brzmiało to nieprawdopodobnie”.

Panna Eisenberg przez wiele dni szukała psa, dawała ogłoszenia do gazeta, pytała w sąsiedztwie, ale nie znalazła się. „Kiedyś przed północną spać wyrzuciłem przez okno i przypomniało mi się to zdarzenie sprzed 4 lat, o którym całkiem niemal już zapominałam. Przypomniał mi się ten pies, którego odgoniłam od drzwi”. Spojrzała na mnie, a po-

1 Zdarzenia i zwierzenia

Zapisane w pamięci

W życiorysie Melanii Kierczyńskiej odbiły się wszystkie krańcowe i najważniejsze problemy tej formacji pokoleniowej. Jej różnorodność, jej samoufarowanie, jej odróżnienie. Jej niepokój intelektualny. Jej nadzieja, wiara i bunt. Wielkie to było bogactwo — gdyż takie przeżycia tworzą bogactwa kultury i osobiste, i zbiorowe — tymi słowami kończy Kazimierz Koźmiewski antologię „Zapisane w pamięci” — książkę poświęconą Melanii Kierczyńskiej, wybitnej marksistowskiej eseistce i krytykowi literackiemu.

„Zapisane w pamięci” — gorzki to dzisiaj tytuł i gorzka to pamięć. W dwa lata po tym tomie wspomnień, grono krakowskich profesorów opublikowało w 100-tysięcznym nakładzie „Historię literatury polskiej w zarysie”, gdzie darmo szukać nazwiska Melanii Kierczyńskiej, ale za to obficie i wielokrotnie rączy się nas nazwiskami czwartorzędnych pisarzy i krytyków, były tylko wydawali w Paryżu albo działali w antykomunistycznej opozycji.

„Domem wariatów z cenzurą” nazwał ktoś ten popis manipulacji literaturą, zwany elegancko subiektywizmem. Być może subiektywizm, ale czy uczciwość? Starczyło miejsca dla debiutanta wydającego poza cenzurą jedną (słownie jedną) książkę, zabrakło miejsca dla czołowej reprezentantki krytyki marksistowskiej.

Niezbadane są zagadki polskiej „odnowy” i polonistki od pana Zagłoby! Wiąc może w socjalistycznej Polsce warto wydać drugą „Historię literatury”, opracowaną, jeśli nie przez marksistów, to przynajmniej przez rzetelnych historyków literatury?

W wydanej dwanaście lat po śmierci Melanii Kierczyńskiej książce Władzimiera Macłaga „Literatura Polski Ludowej” nazwiska Melanii Kierczyńskiej także nie znajdujemy w rozdziale „Krytycy”. Jest tylko w aneksie „Najważniejsze nagrody literackie” — pod datą 1955 odnotowano nagrodę państwową za działalność krytyczną.

Tom wspomnień i szkiców „Zapisane w pamięci”, opracowany przez Olge Kierczyńską, otwiera krótki wstęp Wacława Sadkowskiego, który pisze: „Myśl krytyczna Melanii Kierczyńskiej okazała się z perspektywy czasu nie tylko jednym z najistotniejszych rozdziałów w historii marksistowskiej krytyki literackiej XX wieku, ale w swych najambitniejszych i najbardziej wysublimowanych przejawach do wiodła inspirować, wpływając na kształt piśmiennictwa polskiego, roli (...). Tak więc myśl krytyczna Kierczyńskiej dowiodła swej współtwórczej obecności w całym właściwie współczesnym jej procesie literackim, obecności, której nie sposób nie uznać”.

Ponad trzydziestu autorów rysuje w tonie „Zapisane w pamięci” swego rodzaju portret wielokrotny Melanii Kierczyńskiej. W tych urzekających szkicach i notatkach wspomnieniowych Kierczyńska jest raz „towarzystwą Melanii”, raz surowa, lecz mądrą szefową, to znów czułą matką albo nauczycielką. I choć zapewne żadnemu z autorów nie udało się uchwycić całej pełni osobowości Melanii Kierczyńskiej.

to ów tom szkiców i wspomnień daje nam portret rzetelny, prawdziwy, bardzo ludzki. Najpełniejszą jednak analizę życia i dzieła Kierczyńskiej daje Zanna Kormanowa w szkicu „Z dzieł intelektualnej lewicy komunistycznej”. Melania Kierczyńska należała do rewolucyjnej lewicy polskiego społeczeństwa — nielegalnej i tropionej za caratu, nielegalnej i prześladowanej w Drugiej Rzeczypospolitej, skazanej na bestialskie wyniszczenie fizyczne przez hitlerowskiego okupanta. Należała do nielicznej kadry rewolucyjnych polskich intelektualistów, którzy przenieśli na grunt polski nie tylko teorię rewolucyjnej i postępowej, upowszechniali leninizm, zaszczytnie go polskiej myśli społecznej, polskiej kulturze.

Po latach — prawie w dwudziestolecie śmierci Melanii Kierczyńskiej — spotkało ją za to wzgardliwe przemilczenie w „Historii literatury” krakowskich profesorów, i tylko ten tom wydany w nakładzie 4 tys. egzemplarzy zaświadczają wciąż żywa i ważna obecność tej niecodziennej postaci.

JERZY WILMAŃSKI

2 Lewym okiem

Wnioski księdza Białowąsa

„Ponieważ Polska w swym ochronnym — ustawodawstwie robotniczym posunęła się dość daleko naprzód, pozostając równocześnie w tyle co do wydajności pracy, a naturalne skutki tego już dają się dostrzec i państwu, i pracownikom we znaki, narzucają się wnioski że: 1) należy zwołać na razie tempo fabrykacji dalszych ustaw ochronnych, zwiększających koszty produkcji; 2) w ramach istniejących ustaw ułatwić odchylenia, wskazane dla zwiększenia wydajności”.

To są słowa oczywiście, truistyczne, ale są i muszą być powtarzane jako dotyczące najważniejszego zjawiska w naszej rzeczywistości. O niskiej wydajności pracy słyszemy aż do znudzenia i co? I nic! Czy dlatego, że mówią o tym przedstawiciele władzy, a władza jest niepopularna? Że piszą o tym mądrzy ludzie, uczeni, działacze, publicyści — i publikują swe głosy w środkach masowego przekazu, a te są przecież związane z władzą, publikują to, czego chce władza? Wobec tego wyjaśniam: cytowane na początku zdanie wygłosił ksiądz — ksiądz doktor Michał Białowąs, i to w roku 1931. Dziś trudno usłyszeć takie słowa ze strony Kościoła, który raczej woli przypominąć o „godziwej zapłacie” niż o solidnej pracy. W roku 1931 mieliśmy Polskę sanacyjną, z wolną konkurencją, z parlamentarną demokracją, bardzo katolicką i wierzącą; taka, jakiej miraż ledwie wyobrażony migocze w oczach wielu dzisiejszych „opozycjonistów”. I właśnie wtedy, właśnie takie stanowisko reprezentował Kościół.

Cytat pochodzi z książki

księdza doktora Michała Białowąsa pt. „Czas pracy w Polsce ze stanowiska prawa, ekonomii i etyki”. Na użytek wierzących Czytelników niniejszego felietonu podkreślami i etyki. Książeczkę wydano w „Miejscu Piastowym” nakładem Towarzystwa Świętego Michała Archanioła. Nie były jakieś autorytety stały więc za wnioskiem „ustawowego ułatwienia odchylenia dla zwiększenia wydajności”. O jakie odchylenie chodzi? Chodzi o pominięcie ustawy z 18 grudnia 1919 r. o czasie pracy w przemyśle i handlu. Ustawa ta dopuszczała jako maksimum 8-godzinny dzień pracy, a ksiądz Białowąs uważał, że w razie niskiej wydajności czas pracy należałoby w konkretnych przypadkach przedłużać. „Przy dzisiejszym komunikacyjnym zbliżeniu się narodów — pisze — które konkurują ze sobą nie cierpią u siebie ludzi za mało pracujących, niewystarczająco wydajnych w jednym jakimś państwie mści się na samych mało wydajnych pracownikach przez to, że dzieła ich rąk będą za drogą, a więc odrzucać i zastępowane zagranicznymi jako tańszymi”.

„Wydajność pracy musi dochodzić we wszystkich państwach choć w przybliżeniu do linii równego poziomu. Jeśli tej linii wydajności polskich robotników nie osiąga, z punktu widzenia gospodarczego jest niezbędnym, a ze stanowiska etyki dozwolonym dopuszczenie w umiarkowanych granicach stałych odchylenia (od normy 8-godzinnej — przyp. mój) przy lepszych zajęciach lub dla silnych ludzi. Inne stanowisko w tej kwestii może poddyktować jedynie brak poczucia rzeczywistości lub nieodpowiedzialna za skutki demagogia”.

Tymi mocnymi słowami kończy ksiądz Białowąs swą rozprawę, w której oprócz przedłużania dnia pracy rozpatrywał także nadmierną ilość dni świątecznych (w ówczesnej Belgii 7 wolnych dni poza niedzielami, we Francji — 9, w Polsce — 14), wyższy niż gdzie indziej dopuszczalny wiek dla zatrudnienia młodocianych (w Polsce ówczesnej 15 lat, w innych krajach Europy 14 lat), krótszy tydzień pracy (u nas 46 godzin tygodniowo, w innych krajach — 48 godzin). Większość tych przykładów przestała być aktualna, bo większość krajów poszła dalej niż my w skracaniu czasu pracy. Ale poszła dopiero wtedy, kiedy wydajność pracy na poziomie osiągnęła dostatecznie wysoki poziom. Co do naszego poziomu, pozostawiam tę sprawę do rozpatrzenia każdemu we własnym sumieniu z przekonaniem, że każdy dojdzie do takich samych wniosków, jak cytowane na początku felietonu. Oczywiście — jeśli będzie sprawę rozpatrywał uczciwie, a nie z „brakiem poczucia rzeczywistości” i nie „z nieodpowiedzialną za skutki demagogią”.

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

3 Nagle zastępstwo

Jak czarować?

Nasz specjalny wysłannik na Kongres Iluzjonistów ciężko zaniedbał. Jego ciężki stan wykluczał jakikolwiek kontakt,

zresztą nie miałem sumienia badawać chorego ciotuleka. Został reporterem udośćniona mi jego notatki. Były — jak to zwykle — trudno czytelne, pełne skrótów zrozumiałych tylko dla autora, chaotyczne. Na dodatek pomieszane dokładnie z notatkami z jakichś rozmów, wywiadów, zapiskami z zupełnie innych zebrań i konferencji. Słowem magma. Nie chcąc jednak porzucić naszych czytelników relacji z kongresu zadaliśmy sobie trud — iście wycyfrowaliśmy — uporządkowania, odcyfrowania i przepisania drukiem. Odmianą część materiału musialem odrzucić ze względu na nadto zrozumiałych — był bądź nieczytelny, bądź bez wątpienia niezwiązany z tematem, bądź wreszcie tak dalece osobisty (choć jakieś ciekawy...) że do publikacji bez zgody autora nie mógł być zakwalifikowany.

Oto co ocalało:

Referat. Temat: Szatka iluzji, jej znaczenie kulturowe, jej miejsce we współczesnej świadomości zbiorowej.

Tezy: a) Iluzja w polityce kulturalnej i społecznej — wzrost jej znaczenia w latach siedemdziesiątych a obecnie.

b) Burzliwy i niezwykły rozwój iluzji w latach 80—81.

c) Iluzja jako sztuka i jako sposób poznawania świata dziś.

Dyskusja:

I — Koleżdy! Nie mogę zgodzić się z tezą referatu o wzroście zainteresowania sztuką i praktyką iluzjonistyczną w całym dziesięcioleciu lat siedemdziesiątych. Fakt, kilka pierwszych lat charakteryzowało się ciekawymi pomysłami, nowymi technikami iluzjonistycznymi i zainteresowaniem najwęższych (nieczytelne). Tym niemniej, w połowie lat siedemdziesiątych, mimo niesłabnącego zainteresowania dużej części społeczeństwa i żywego poparcia, nawet powiedzianym rosnącemu poparciem (nieczytelny, niezrozumiały skrót) zaobserwować można było regres naszej sztuki. Zagraniczne rekwiżyty się opatrzyły i zużyły, właściwie jedyny numer, który jeszcze brał publiczność to było stare, ograne wyciąganie banknotów z rękawa.

II — Szanowni koleżdy! Chcę zwrócić uwagę na zbyt daleko idące uproszczenia w potraktowaniu przez autora referatu okresu dwu lat — 1980 i 81. Referat nie uwzględnia rozłamu, jaki wówczas nastąpił w naszym środowisku. Czasę kolegów, pragnących pracować starymi metodami była zmuszona do publicznego ujawniania tajemnic sztuki. Wzburzona publiczność masowo wychodziła z sal, w których odbywały się produkcje iluzjonistyczne. Sam pamiętam zasłużonych iluzjonistów pozbawianych iluzji! (Okłaski).

Tymczasem wielu naszych kolegów, zwłaszcza młodszych, którzy zajęli i uzupełnie nowe stowarzyszenie iluzjonistów, cieszyli się ogromnym powodzeniem. Występowali nie tylko w kabinach i cyrkach. Było ich pełno na stadionach i w halach sportowych. Najprostszą numer budził szalony entuzjazm — nie trzeba było wyciągać królika z cylindra, wystarczyło pokazać dwa palce prawej ręki i publiczność szalała. Czasem wystarczyło tylko obiecać jakąś sztukę!

Chcę tu z szalem przypomnieć kolegom, że kierownictwo nowego stowarzyszenia obiecało nam transport zupełnie wspaniałych rekwiżyty z Japonii i zamiast tego sprowadziło z Holandii powielacz, który z dużym trudem dał się zastosować w sztuce iluzjonistycznej, choć pewne udane próby się odbyły.

III — Drodzy koleżdy! Dajmy spokój historycznym dywagacjom. Obecny stan naszej sztuki musi budzić poważne obawy. Wielu zasłużonych iluzjonistów przeszło na emeryturę bez szans powrotu na estradę. Nie byłoby w stanie powrócić czegośkolwiek ze swego repertuaru, bardzo już ograniczonego. Znaczna część młodych kolegów zaangażowała się w zagranicznych przedsiębiorstwach. Mimo wysiłków tamtejszych impresariów mimo nakładów, ich sztuczki nie udają się zupełnie.

W wyniku kryzysu i skomplikowania stosunków importowo-eksportowych cierpiemy na dotkliwy brak rekwiżyty. Postuluje, aby koleżdy nauczyl

się masowo wyciągania banknotów skądkolwiek. Dobrze byłoby, gdyby to były banknoty walut wymienialnych... Wskazane jest, aby króliki z cylindra były pierwszej, eksportowej jakości.

Znaczna część społeczeństwa, koleżdy, nadal wymaga iluzji. Koleżdy! Ratujmy się! Przewidyuję rychły koniec naszej pięknej sztuki!

Po dyskusji nad referatem odbyły się wybory nowego zarządu Stowarzyszenia Iluzjonistów. Salę zarzucono wielokolorowymi kartkami. Wobec niemożności przeprowadzenia wyborów tajnych w środowisku tak zaprawionym do cudów z kartkami zarządzono wybory jawne.

Po wyborach odbyła się wielka rewia pod hasłem „Jak czarować?” No właśnie...

Opracował: ANDRZEJ KAROL

4 Sport

Mądrym być, ale przed szkodą

Lubię słuchać radia. I któregoś ranka w „Sygnałach dnia” usłyszałam rozmowę z kierownikami różnych sklepów w Warszawie o sposobach ich zamknięcia. A były to sklepy, które szczególnie należy chronić przed złodziejami, były to sklepy „Desy”, jubilerskie oraz apteki. Dlaczego szczególnie należy chronić te pierwsze, wszyscy się domyślają. Dlaczego apteki? Bo tam są narkotyki i inne lekarstwa, na które może polskonić się przemyślny złodziej.

I co się okazało? Ano, że sklepy te zamyka się na zwykłe klódki, w jednym wypadku na skomplikowany zamek patentowy, a kierowniczka sklepu „Desy” wysłała pismo w sprawie właściwego zamknięcia sklepu i zamalowania systemu alarmowego do dyrekcji i czeka na załatwienie tego pisma. Ma nadzieję, że pozytywne.

Na ogół systemy alarmowe instaluje się w sklepach, w których były włamania. Ta metoda zmusiła mnie do głębokiego zastanowienia się o stan umysłu niektórych naszych urzędników. Dlaczego bowiem nie instalować systemy alarmowe tam, gdzie już było włamanie? „Nie dwa razy się nie zdarza” — śpiewała w radu Lucja Frus. Złodziej pójdzie teraz do innego sklepu, a więc trzeba instalować systemy alarmowe tam, gdzie jeszcze włamań nie było. To chyba oczywiście. Praktyka jest jednak inna.

Niestety, nie tylko w handlu. Strata nawet dużego majątku jest do odrobienia. Tradycyjni tryby przez bezmyślność, głupotę zła pracę zła organizację, brak inwencji i wiele jeszcze innych wad, a później wszystko to musimy odrabiać, że zmieści się w tym jeszcze i to dodatkowe odrabianie. A poza tym milicja część łupów na ogół odzyskuje. Utraczone zdrowie odzyskać jest trudniej. Życia nie można wołać. A niestety, również w sporcie,

Polacy bywają mądrzy po szkodzi, zaczynają się troszczyć o zdrowie innych, gdy dojdzie do tragicznego wypadku. A należałoby przedtem, aby do tego wypadku nie musiało dojść. Oczywiście to, ale praktyka jest inna.

Sport związany jest z ryzykiem. W Ozorkowie, gdzie odbywa się turniej „O złotą łódkę” został znokautowany bokser węgierski. Był to — jak mi opowiadano — straszny nokaut. Chłopaka zdjęto z ringu, nogi miał lekko sparaliżowane. Mam nadzieję, że chwiliowo. Zdarzyła się przecież i śmierć na ringu. Widzowie w ozorkowskiej Hali Sportowej odebrali ten nokaut z dużym wstrząsem. Było to dla nich przykre, szokujące, przycięcie. Na widowni długo panowała cisza nim ludzie przysli do siebie.

Nie wiem, jak było w Bukareszcie, kiedy 30 października 1983 roku zmarł tam nagłe 35-letni Roman Szuszcicki, zawodnik naszej reprezentacji w rugby. Nie jest to dyscyplina, która w Polsce budzi większe zainteresowanie kibiców. Raczaj przeciwnie. Tak więc i o tym tragicznym wypadku było raczej cicho, co też i pewnie było na ręce niektórym działaczom. Dopiero 21 listopada 1983 r. redakcja sportowa telewizji nadała audycję reportażu „Aut”, który sprawę tę wyściagnął na światło dzienne. Ujawnili oni, że sportowiec Roman Szuszcicki zmarł na zawał serca. Szok! Sportowiec na zawał serca?

Większy jednak szok wywołała relacja świadków i tych, którzy powinni być zainteresowani tą sprawą i wyściagnąć z niej jakies wnioski, czegoś się nauczyć, po to, żeby coś podobnego nie powtórzyło się już nigdy.

Ich reakcje natomiast można określić jako wzruszenie ramion i zdziwienie. Roman Szuszcicki czuł się źle przed wyjazdem, miał anginę, brał antybiotyki. Dzwonił i zawiadał, że rączaj do Rumunii, nie pojedzie. Powiedziano mu, że jak nie pojedzie do Rumunii, to nie pojedzie też do Włoch. Pojechał więc, choć nie powinien. Po meczu, już na bankiecie poczuł się źle, wyszedł w połowie, lekarz del mu środki antybiotowe, uznano bowiem, że boli go w okolicy mostka z powodu kontuzji, a był to ból sygnalizujący zawał serca. Później sekcja wykazała, że Roman „Szuszcicki miał zawał serca”. Ociecie Romana Szuszcickiego powiedział, że ludzie, którzy do tej pory opiekowali się młodymi w zespołach rugby, powinni odejść, bo nie potrafią tego robić. Ale nikt się tym nie przejął.

Zaczęłam od handlu i Krytyk mógł się zdziwić, co to ma wspólnego ze sportem. O toż w metodzie zaprezentowanej tu i tu jest coś przerażającego wspólnego. Obojętność i brak odpowiedzialności, okraszona na dodatek beżmyślnością i brakiem wyobraźni. Tylko, że tam chodzi o dobro materialne, a tu o dobro najwyższe — jak to się określa w hasłach — o człowieka. Jak to mogło być, aby chłopak z wadą serca był zawodnikiem i nikt tego do tej pory nie stwierdził? Zaden lekarz na tym się nie poznaj? Czy przeprowadzono badania kompleksowe rugbistów?

W sporcie przeraża mnie często stosunek lekarza do zawodnika. On nie stara się go chronić, on przysposabia go do gry. Stosuje takie metody, aby zawodnik jak najszybciej mógł znaleźć się na boisku, w hali, na ringu. Czy nie jest to eksploatacja organizmu młodego człowieka? Czy taką rolę ma pełnić lekarz w drużynie, w klubie? Czy celem nadrzędnym jest człowiek, czy wynik klubu?

Postaramy się być mądrzy przed szkodą. Umieć szkodę przewidzieć i jej zapobiec. Trudne to, ano trudne, ale konieczne. I w sporcie, i w handlu, i wszędzie indziej.

BOGDA MADEJ

Tygodnik społeczno-kulturalny „Odgłosy”, al. A Mickiewicza 11, kod 50-432 Łódź. Telefon: sekretariat i redakcja 53-53-44, sekretarz redakcji 55-50-99. Redakcja nie zamawia reklam i nie odpowiada za treść ogłoszeń. Wskazane jest, aby króliki z cylindra były pierwszej, eksportowej jakości. Znaczna część społeczeństwa, koleżdy, nadal wymaga iluzji. Koleżdy! Ratujmy się! Przewidyuję rychły koniec naszej pięknej sztuki! Po dyskusji nad referatem odbyły się wybory nowego zarządu Stowarzyszenia Iluzjonistów. Salę zarzucono wielokolorowymi kartkami. Wobec niemożności przeprowadzenia wyborów tajnych w środowisku tak zaprawionym do cudów z kartkami zarządzono wybory jawne. Po wyborach odbyła się wielka rewia pod hasłem „Jak czarować?” No właśnie... Opracował: ANDRZEJ KAROL Sport Mądrym być, ale przed szkodą Lubię słuchać radia. I któregoś ranka w „Sygnałach dnia” usłyszałam rozmowę z kierownikami różnych sklepów w Warszawie o sposobach ich zamknięcia. A były to sklepy, które szczególnie należy chronić przed złodziejami, były to sklepy „Desy”, jubilerskie oraz apteki. Dlaczego szczególnie należy chronić te pierwsze, wszyscy się domyślają. Dlaczego apteki? Bo tam są narkotyki i inne lekarstwa, na które może polskonić się przemyślny złodziej. I co się okazało? Ano, że sklepy te zamyka się na zwykłe klódki, w jednym wypadku na skomplikowany zamek patentowy, a kierowniczka sklepu „Desy” wysłała pismo w sprawie właściwego zamknięcia sklepu i zamalowania systemu alarmowego do dyrekcji i czeka na załatwienie tego pisma. Ma nadzieję, że pozytywne. Na ogół systemy alarmowe instaluje się w sklepach, w których były włamania. Ta metoda zmusiła mnie do głębokiego zastanowienia się o stan umysłu niektórych naszych urzędników. Dlaczego bowiem nie instalować systemy alarmowe tam, gdzie już było włamanie? „Nie dwa razy się nie zdarza” — śpiewała w radu Lucja Frus. Złodziej pójdzie teraz do innego sklepu, a więc trzeba instalować systemy alarmowe tam, gdzie jeszcze włamań nie było. To chyba oczywiście. Praktyka jest jednak inna. Niestety, nie tylko w handlu. Strata nawet dużego majątku jest do odrobienia. Tradycyjni tryby przez bezmyślność, głupotę zła pracę zła organizację, brak inwencji i wiele jeszcze innych wad, a później wszystko to musimy odrabiać, że zmieści się w tym jeszcze i to dodatkowe odrabianie. A poza tym milicja część łupów na ogół odzyskuje. Utraczone zdrowie odzyskać jest trudniej. Życia nie można wołać. A niestety, również w sporcie, Polacy bywają mądrzy po szkodzi, zaczynają się troszczyć o zdrowie innych, gdy dojdzie do tragicznego wypadku. A należałoby przedtem, aby do tego wypadku nie musiało dojść. Oczywiście to, ale praktyka jest inna. Sport związany jest z ryzykiem. W Ozorkowie, gdzie odbywa się turniej „O złotą łódkę” został znokautowany bokser węgierski. Był to — jak mi opowiadano — straszny nokaut. Chłopaka zdjęto z ringu, nogi miał lekko sparaliżowane. Mam nadzieję, że chwiliowo. Zdarzyła się przecież i śmierć na ringu. Widzowie w ozorkowskiej Hali Sportowej odebrali ten nokaut z dużym wstrząsem. Było to dla nich przykre, szokujące, przycięcie. Na widowni długo panowała cisza nim ludzie przysli do siebie. Nie wiem, jak było w Bukareszcie, kiedy 30 października 1983 roku zmarł tam nagłe 35-letni Roman Szuszcicki, zawodnik naszej reprezentacji w rugby. Nie jest to dyscyplina, która w Polsce budzi większe zainteresowanie kibiców. Raczaj przeciwnie. Tak więc i o tym tragicznym wypadku było raczej cicho, co też i pewnie było na ręce niektórym działaczom. Dopiero 21 listopada 1983 r. redakcja sportowa telewizji nadała audycję reportażu „Aut”, który sprawę tę wyściagnął na światło dzienne. Ujawnili oni, że sportowiec Roman Szuszcicki zmarł na zawał serca. Szok! Sportowiec na zawał serca? Większy jednak szok wywołała relacja świadków i tych, którzy powinni być zainteresowani tą sprawą i wyściagnąć z niej jakies wnioski, czegoś się nauczyć, po to, żeby coś podobnego nie powtórzyło się już nigdy. Ich reakcje natomiast można określić jako wzruszenie ramion i zdziwienie. Roman Szuszcicki czuł się źle przed wyjazdem, miał anginę, brał antybiotyki. Dzwonił i zawiadał, że rączaj do Rumunii, nie pojedzie. Powiedziano mu, że jak nie pojedzie do Rumunii, to nie pojedzie też do Włoch. Pojechał więc, choć nie powinien. Po meczu, już na bankiecie poczuł się źle, wyszedł w połowie, lekarz del mu środki antybiotowe, uznano bowiem, że boli go w okolicy mostka z powodu kontuzji, a był to ból sygnalizujący zawał serca. Później sekcja wykazała, że Roman „Szuszcicki miał zawał serca”. Ociecie Romana Szuszcickiego powiedział, że ludzie, którzy do tej pory opiekowali się młodymi w zespołach rugby, powinni odejść, bo nie potrafią tego robić. Ale nikt się tym nie przejął. Zaczęłam od handlu i Krytyk mógł się zdziwić, co to ma wspólnego ze sportem. O toż w metodzie zaprezentowanej tu i tu jest coś przerażającego wspólnego. Obojętność i brak odpowiedzialności, okraszona na dodatek beżmyślnością i brakiem wyobraźni. Tylko, że tam chodzi o dobro materialne, a tu o dobro najwyższe — jak to się określa w hasłach — o człowieka. Jak to mogło być, aby chłopak z wadą serca był zawodnikiem i nikt tego do tej pory nie stwierdził? Zaden lekarz na tym się nie poznaj? Czy przeprowadzono badania kompleksowe rugbistów? W sporcie przeraża mnie często stosunek lekarza do zawodnika. On nie stara się go chronić, on przysposabia go do gry. Stosuje takie metody, aby zawodnik jak najszybciej mógł znaleźć się na boisku, w hali, na ringu. Czy nie jest to eksploatacja organizmu młodego człowieka? Czy taką rolę ma pełnić lekarz w drużynie, w klubie? Czy celem nadrzędnym jest człowiek, czy wynik klubu? Postaramy się być mądrzy przed szkodą. Umieć szkodę przewidzieć i jej zapobiec. Trudne to, ano trudne, ale konieczne. I w sporcie, i w handlu, i wszędzie indziej. Bogda Madej

Redaguje zespół: Eysard Binkowski, Dariusz Doroszyński, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jędrkowska, Andrzej Karolewski (sekretarz redakcji), Jerzy Kwiatkowski, Bogda Madej, Andrzej Makowski, Grażyna Olechowska (z-ca sekretarza redakcji), Tomasz Sas (z-ca redaktora naczelnego) Igor Sibirycki (kier. działu literackiego), Karol J. Strykowski, Janusz Szymanski (kier. grafiki), Paweł Tomaszewski, Lucjusz Włodkowski (redaktor naczelny) Jolanta Wrońska, Mirosław Zajądel (fotoreporter). Stałe współpracują: Tadeusz Białecki, Edward Bryl, Krzysztof Drzewiecki, Gregorz Gada, Bohdan Gałomski, Witold Kasperkiewicz, Włodzimierz Krzemieński, Dariusz Miller, Krysztyna Namysłowska, Jerzy Panaszewicz, Ewa Pankiewicz, Henryk Breczyński, Jerzy Wilmański.

Dalszy ciąg rozdziału o tym, że w domu obiad bywa najsmaczniejszy i najtańszy

Teraz więc, przewodząc kobietom ze Skirolawek na ich biesiadzie, raz po raz do góry swój pełen wódki kieliszek podnosiła i inne do tego samego zachęcała.

Nie potrzebowała żadnych zachęt Zofia Pasemkówna - nie robiła się jednak po wódce weselsza, lecz jeszcze bardziej swoje wąskie usta zaciskała.

Zona soltysa Jonasza Wajtrucha tylko usta moczyła w kieliszku, skubnęła odrobine gęsi i pieczonego placaka - wiała jej męża nie pozwalając na więcej, nakazywała pokorę i powściągliwość.

Widłagowa dolewała też do kieliszka i żonie drwała Stasiaka, aby raz jeszcze usłyszeć jej wyznanie, że szóste dziecko zmalstrował jej mąż, Widłag.

W biesiadzie uczestniczyła też wdowa Janickowa i jej córka, kulawa Maryna, która z Antkiem Pasemką dziecko nieślubne miała.

Zamiast Basienki do sklepu po zakupy chodził i stawał z kobietami w kolejce przy ladzie, przysłuchując się ich rozmowom.

Żadne nasa poza włoskę nie wyszcubiła. Zachwycały go ich cięte charakterystyki innych

ludzi, przewrotność umysłów, pazerność i chciwość, jakby zwierzęce przywiązanie do dzieci,

Na drodze koło cmentarza, w gęstej ciemności nieomal zderzyli się Porwaz z powracającą samotnie żoną gajowego Widłaga.

— O, pan Porwaz — ucieszyła się rozpoznaną osobą. — A dokąd to pan tak spieszy? — Papierosy idę do klubu — wyjaśnił Porwaz.

— Jest! Jest! — radośnie pomrukiwała Widłagowa, miętosząc z początku niekiedy, a potem coraz twardszy Porwazowy członek.

W tym czasie malarz Porwaz kończył przy świetle elektrycznym prace nad nowym obrazem, pełnym trzcin nad jeziorem.

— W tym czasie malarz Porwaz kończył przy świetle elektrycznym prace nad nowym obrazem, pełnym trzcin nad jeziorem.



Rys. Janusz Szymański-Glane

do dziesiątej wieczorem, i gdzie można było nabyć papierosy.

Na drodze koło cmentarza, w gęstej ciemności nieomal zderzyli się Porwaz z powracającą samotnie żoną gajowego Widłaga.

— O, pan Porwaz — ucieszyła się rozpoznaną osobą. — A dokąd to pan tak spieszy?

— Papierosy idę do klubu — wyjaśnił Porwaz.

Jego ciało przeciwstawiło się brzuchowi Widłagowej. Polem prawa ręka Porwasa dotknęła pierś żony gajowego, lewa zaś oparła się na potężnym zadzie kobiecym.

— Jest! Jest! — radośnie pomrukiwała Widłagowa, miętosząc z początku niekiedy, a potem coraz twardszy Porwazowy członek.

Stali tak na drodze przylepieni do siebie nby dwie duże mrowki, które się przypadkiem spotkały i dotykają się czulkami, co podobno oznacza u nich nie tylko powitanie, ale wymianę wiadomości.

— Papierosów już pan nie dostanie, bo klub dziś nieczynny — powiedziała Widłagowa do Porwasa.

To mówiąc szybkim ruchem zadziła Widłagowa kielik, zręcznie zrzuciła majtki, niewiele o nie dbając.

Z przyjemnością poglaskał napletką na zadzie gładką skórę, a że członek już miał uprzednio z rozporzka wyjęty, tedy namacawszy dłoń jej wilgotny srom zadał mocny cios od tyłu, aż westchnęła z wielkiego zadowolenia.

Poczul ogarniającą go radosną ulgę. Jakby

mu ktoś zdjął z pleców wielki ciężar, który dźwigał już od wielu dni i nigdy się z nim nie rozstawał.

— No dalej, dalej. Pozwólcie sobie wszyscy — pomrukiwała Widłagowa, wciąż wspierając się rękami o pień młodego klonu i wypinając zad.

Młody Galembka zaczął rozpinąć rozporek, lecz Porwaz położył mu dłoń na ramieniu.

— Galembka pośpiesznie wyciągnął z kieszeni zmietoszoną paczkę, podał ją malarzowi i zaraz doskoczył do Widłagowej.

— Co ci to? — zdumiał się Porwaz. — Nie wiem... Chyba wódki za dużo wypłem — bełkotał wstrząsany torsjami.

Galembka odstąpił wreszcie od Widłagowej, która wciąż trzymała się pnia klonu, czekając na następnego mężczyznę.

— Nie wiem... Chyba wódki za dużo wypłem — bełkotał wstrząsany torsjami.

Galembka odstąpił wreszcie od Widłagowej, która wciąż trzymała się pnia klonu, czekając na następnego mężczyznę.

— Nie wiem... Chyba wódki za dużo wypłem — bełkotał wstrząsany torsjami.

Galembka odstąpił wreszcie od Widłagowej, która wciąż trzymała się pnia klonu, czekając na następnego mężczyznę.

— Nie wiem... Chyba wódki za dużo wypłem — bełkotał wstrząsany torsjami.

Galembka odstąpił wreszcie od Widłagowej, która wciąż trzymała się pnia klonu, czekając na następnego mężczyznę.

— Nie wiem... Chyba wódki za dużo wypłem — bełkotał wstrząsany torsjami.

— Nie wiem... Chyba wódki za dużo wypłem — bełkotał wstrząsany torsjami.

— Nie wiem... Chyba wódki za dużo wypłem — bełkotał wstrząsany torsjami.

— Nie wiem... Chyba wódki za dużo wypłem — bełkotał wstrząsany torsjami.

— Nie wiem... Chyba wódki za dużo wypłem — bełkotał wstrząsany torsjami.

— Nie wiem... Chyba wódki za dużo wypłem — bełkotał wstrząsany torsjami.

— Nie wiem... Chyba wódki za dużo wypłem — bełkotał wstrząsany torsjami.

— Nie wiem... Chyba wódki za dużo wypłem — bełkotał wstrząsany torsjami.

— Nie wiem... Chyba wódki za dużo wypłem — bełkotał wstrząsany torsjami.

— Nie wiem... Chyba wódki za dużo wypłem — bełkotał wstrząsany torsjami.

— Nie wiem... Chyba wódki za dużo wypłem — bełkotał wstrząsany torsjami.

— Nie wiem... Chyba wódki za dużo wypłem — bełkotał wstrząsany torsjami.

— Nie wiem... Chyba wódki za dużo wypłem — bełkotał wstrząsany torsjami.

— Nie wiem... Chyba wódki za dużo wypłem — bełkotał wstrząsany torsjami.

— Nie wiem... Chyba wódki za dużo wypłem — bełkotał wstrząsany torsjami.

— Nie wiem... Chyba wódki za dużo wypłem — bełkotał wstrząsany torsjami.

— Nie wiem... Chyba wódki za dużo wypłem — bełkotał wstrząsany torsjami.

— Nie wiem... Chyba wódki za dużo wypłem — bełkotał wstrząsany torsjami.

— Nie wiem... Chyba wódki za dużo wypłem — bełkotał wstrząsany torsjami.

— Nie wiem... Chyba wódki za dużo wypłem — bełkotał wstrząsany torsjami.

— Nie wiem... Chyba wódki za dużo wypłem — bełkotał wstrząsany torsjami.

— Nie wiem... Chyba wódki za dużo wypłem — bełkotał wstrząsany torsjami.

— Nie wiem... Chyba wódki za dużo wypłem — bełkotał wstrząsany torsjami.

— Nie wiem... Chyba wódki za dużo wypłem — bełkotał wstrząsany torsjami.

— Nie wiem... Chyba wódki za dużo wypłem — bełkotał wstrząsany torsjami.

— Nie wiem... Chyba wódki za dużo wypłem — bełkotał wstrząsany torsjami.

— Nie wiem... Chyba wódki za dużo wypłem — bełkotał wstrząsany torsjami.

— Nie wiem... Chyba wódki za dużo wypłem — bełkotał wstrząsany torsjami.

— Nie wiem... Chyba wódki za dużo wypłem — bełkotał wstrząsany torsjami.

— Nie wiem... Chyba wódki za dużo wypłem — bełkotał wstrząsany torsjami.

— Nie wiem... Chyba wódki za dużo wypłem — bełkotał wstrząsany torsjami.

— Nie wiem... Chyba wódki za dużo wypłem — bełkotał wstrząsany torsjami.

— Nie wiem... Chyba wódki za dużo wypłem — bełkotał wstrząsany torsjami.

— Nie wiem... Chyba wódki za dużo wypłem — bełkotał wstrząsany torsjami.

— Nie wiem... Chyba wódki za dużo wypłem — bełkotał wstrząsany torsjami.

— Nie wiem... Chyba wódki za dużo wypłem — bełkotał wstrząsany torsjami.

— Nie wiem... Chyba wódki za dużo wypłem — bełkotał wstrząsany torsjami.

— Nie wiem... Chyba wódki za dużo wypłem — bełkotał wstrząsany torsjami.

— Nie wiem... Chyba wódki za dużo wypłem — bełkotał wstrząsany torsjami.

— Nie wiem... Chyba wódki za dużo wypłem — bełkotał wstrząsany torsjami.